Nr. 6 Kraków, czerwiec 1909. Rok X.

PRZODOWNICA

::PISMO DLA KOBIET::

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . kor. 1·50 | za granicą . marek 1·50
półrocznie . „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.
W państwie rosyjskiem:
Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.



POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Na razie było to przecież nadzwyczaj pomyślne wydarzenie, ubezpieczało bowiem granice Polski nad Bałtyckiem morzem i pozwalało jej skuteczniej pilnować granicznych kresów od strony Moskali, Tatarów i Wołochów.

Chociaż „nowa wiara“ szerzyła się tu i ówdzie po Polsce, król Zygmunt przeciw niej nie występował, nie chciał bowiem mieszać się do spraw sumienia swoich poddanych i wywoływać takich burz religijnych, jakie szalały w Niemczech. Pilnował jednak, by się nikomu krzywda nie działa; to też gdy w roku 1526. nowowiercy tak się rozzuchwalili w mieście Gdańsku, że pozabierali katolikom kościoły i zaczęli ich prześladować, król pospieszył tam osobiście, oddał sprawców tych krzywd pod sąd i jak niegdyś król Władysław Łokietek niemieckich mieszczan krakowskich, pokarał gdańskich przestępców według ich własnego srogiego prawa magdeburskiego; następnie zaś wydał przepisy, zapewniające każdemu z mieszkańców Gdańska wolność sumienia i wyznawania swojej religii.

Odtąd spory religijne nie zakłócały już więcej spokoju Polski.

Gdy król Zygmunt uspokajał mieszczan gdańskich, umarł Janusz książę mazowiecki, bez pozostawienia męskiego potomka. Wskutek tego reszta Mazowsza weszła, jako województwo mazowieckie, w bezpośredni skład Polski, a mazowieccy posłowie zasiedli na najbliższym sejmie w Piotrkowie, pośród przedstawicieli innych województw koronnych. Tak spoistość i jedność Polski wzrastała coraz więcej.

Z królową Boną miał Zygmunt syna, urodzonego w dniu 1. sierpnia 1520. r., którego ochrzczono dwojgiem imion: Zygmunt August. Pragnąc synowi temu zapewnić za życia swojego następstwo po sobie, czynił król w tym celu gorliwe starania wśród senatorów i wpływowych osobistości rycerskiego

stanu. Starania te pomyślny uwieńczył skutek. Sejm piotrkowski uznał Zygmunta Augusta za króla polskiego, a wkrótce potem odbyła się w Krakowie, d. 21. lutego 1530. roku, uroczysta koronacya dziesięcioletniego królewicza na władcę Polski.

Tymczasem Wołosi, zapomniawszy o cięgach, jakie zadały im przed dwudziestudwu laty szable polskie, znów w 26 tysięcy ludzi najechali Pokucie. Wyruszył przeciw nim w 6 tysięcy rycerstwa tylko, Jan Tarnowski, od r. 1526., po śmierci Firleja, wielki hetman koronny.

Pomimo tak wielkiej przewagi liczebnej Wołochów, uderzył na nich pod Obertynem, dnia 22. sierpnia 1531. roku i rozbił ich w puch, zabierając im dział 50 i 7 chorągwi.

Równie zwycięsko odparto w następnym roku najazd Tatarów, wojna zaś prowadzona w 1534. i 1535. r., pod wodzą Jana Tarnowskiego przeciw Moskwie, zakończyła się wzięciem zamków Homla i Staroduba i nową chwałą okryła oręż Polski.

Dzięki tym zwycięstwom zapanował pokój u wschodnich i południowo-wschodnich granic Polski, był on tem potrzebniejszy, że od niejakiego czasu król Zygmunt miał wewnątrz kraju liczne kłopoty i zmartwienia. Królowa Bona ustaliwszy się w Polsce i opanowawszy postarzałego króla, zaczęła mieszać się do spraw publicznych i prowadzić je na sposób włoski, zapomocą intryg, podstępów i przekupstw. Utworzyła całe stronnictwo swoje złożone z ludzi, mających na celu nie dobro kraju, jeno swoje własne sprawy. Królowa była chciwą kobietą i pragnąc zebrać jak największe bogactwa, różnych do tego używała sposobów. Mając ogromny wpływ na męża swego, wyrabiała u niego biskupstwa, godności senatorskie i inne urzędy dla rozmaitych ludzi, każąc sobie za to sowicie płacić. Chociaż działała potajemnie, przecież postępowanie takie ukryć się nie dało i wkrótce wieści o niem rozeszły się po całej Polsce, wywołując zgorszenie i niechęć przeciw królowej, a pośrednio i przeciw królowi. Królowa rozgoryczona przeciw niechętnym, zaczęła ich prześladować, czem jeszcze zwiększyła powszechne niezadowolenie.

Ponieważ w Polsce panowała wolność słowa, zaczęto głośno powstawać przeciw królowej, a króla obwiniać, że pozwala na podobne postępowanie swej żonie. Sejmy, które dotychczas odbywały się zgodnie i spokojnie, stały się burzliwe i zaczęły się rozchodzić bez powzięcia jakichkolwiek uchwał.

Król, przygnębiony wiekiem i nie mający już dawnej swej energii, a ulegający żonie, martwił się takim stanem rzeczy ogromnie, tembardziej, gdy przyzwyczajony był do tego, iż otaczały go zawsze miłość i poważanie narodu. Widząc zaś, że za pośrednictwem senatorów i posłów nie zdoła porozumieć się z narodem, postanowił postarać się o sposobność zetknięcia się bezpośredniego z rycerskim stanem. W tym celu, korzystając z wieści, że Wołosi znów przygotowują się do najazdu na Polskę, zwołał pospolite ruszenie pod Lwów, na lipiec 1537. roku.

Jakoż stawiło się pod tem miastem 150 tysięcy zbrojnej szlachty i rozłożyło wspaniały obóz, zapełniony doskonale uzbrojonem i pełnem wojennego animuszu rycerstwem. Siłą tą można było naówczas świat podbić. Król jednak nie miał wojennych zamiarów. To też zamiast wojny zaczęły się obrady i wymiana zdań pomiędzy szlachtą, senatorami i królem. Król wybadywał usposobienie szlachty i jej życzenia. Sprawa się przeciągała, gdy nagle zaszedł wypadek, który ją odrazu zakończył. Jednego dnia zaprosiła szlachta senatorów na rozmowę, pod położoną tuż obok Lwowa wieś Zboiska. Dzień był pochmurny i deszczem grożący — nie zważano na to. Senatorowie zasiedli na przygotowanem dla nich wzniesieniu z desek, a tysiące szlachty otoczyły ich wokoło. Rozmowa odbywała się wcale spokojnie i porządnie, jak na tylotysięczne mrowisko ludzkie, gdy nagle do miejsca na którem, wśród innych se-

natorów, stał hetman Jan Tarnowski, zbliżyło się kilku ubogich, licho ubranych szlachciców. Tarnowski był znakomitym wodzem i broniąc ojczyzny walecznie, zasłużył się jej ogromnie; bawiąc jednak zagranicą przesiąkł panującymi tam przesądami i był przeciwnikiem równości rycerskiego stanu. Pragnął, by tylko można szlachta miała władzę w ręku, a uboższa jej ulegała. To też ujrzawszy owych mizernie wyglądających panów braci, wskazał na nich ręką i rzekł: „A te szuje czego tu chcą“? Naturalnie, że słowa te wywołały ogromne oburzenie. Powstał straszliwy tumult i niewiadomo, coby się było stało z Tarnowskim i ze senatorami, gdyby nie deszcz ulewny, który lunął z chmur, przewalających się po niebie i wszystkich rozpędził.

Po tej awanturze król ogłosił uroczyście, że wszystkie żale rycerskiego stanu będą rozważone i pomyślnie załatwione na najbliższym sejmie, a zarazem rozpuścił pospolite ruszenie do domów.

Rycerstwo rozjechało się zadowolnione, a król dowiedziawszy się, o co mu chodzi, poczynił odpowiednie starania i pozbył się trosk swoich.

Długi pobyt tak wielkiej masy ludzi koło Lwowa, spowodował objedzenie całej okolicy, zwłaszcza pozjadano wszystkie kury i kurczęta. Z tego powodu zjazd ten nazwano w o j n ą k o k o s z ą.

Dalsze lata panowania króla Zygmunta Starego upłynęły Polsce w pokoju. Zresztą podczas całego jego panowania, wojny toczyły się tylko na kresach kraju, wnętrze Polski zażywało zupełnego spokoju. To też dobrze się wówczas działo w naszej ojczyźnie. Panowały w niej dobrobyt i swoboda, handel i przemysł rozwijały się pomyślnie. Kwitnęły również nauki i sztuki.

Za królową Boną nie samo zło przyszło do Polski, owszem przybyli za nią artyści: budowniczowie, rzeźbiarze i malarze, przy pomocy których król Zygmunt wspaniale przebudował zamek krakowski na Wawelu i wzniósł przy katedrze zamkowej śliczną kaplicę zygmuntowską. W innych miastach polskich powstały również piękne ratusze, kościoły i inne budynki.

W słońcu wolności jakie wówczas przyświecało Polsce, wyrastali wielcy i znakomici ludzie. Obok niezrównanych wodzów jak: Konstantyn Ostrogski, Mikołaj Kamieniecki, Mikołaj Firlej, Jan Tarnowski, miała Polska ówczesna wybornych kierowników spraw publicznych, jak Krzysztof Szydłowiecki kasztelan krakowski i kanclerz koronny, Piotr Tomicki, Jan Łaski, Samuel Maciejowski i wielu innych.

Poeta Polski Klemens Janicki uzyskał taką sławę, iż ukoronowano go w Rzymie złotym wieńcem. Słynęli: lekarz i historyk Maciej Miechowita, matematyk i historyk Bernard Wapowski, historyk Marcin Kromer, prawnik Grzegorz Szamotulski, Jędrzej Krzycki miłośnik nauk. Nad wszystkich jednak zajaśniał M i k o ł a j K o p e r n i k, który udowodnił, iż nie słońce około ziemi, jak to się nam wydaje, jeno ziemia obraca się koło słońca i dowodem swoim wprowadził astronomię, t. j. naukę o gwiazdach i innych ciałach niebieskich, na nową, prawdziwą drogę. Wielki ten uczony urodził się w Toruniu, w r. 1473., jako syn tamtejszego mieszczanina, uczył się najpierw w Krakowie, gdzie na uniwersytecie Jagiellońskim uzyskał stopień doktora filozofii i medycyny, uprawiając równocześnie astronomię pod przewodnictwem profesora Wojciecha Brudzewskiego, później w Italii, skąd powróciwszy do Polski został kanonikiem w mieście Frauenburgu w ziemi warmińskiej, gdzie poświęcając wszystkie wolne chwile od obowiązków duchownych, umiłowanej astronomii, dokonał wiekopomnego odkrycia, które napełniło cały świat sławą jego imienia.

To też słusznie napisał o nim w parę wieków później polski poeta:

„Wydało go polskie plemię.
Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię“.

Kopernik umarł d. 24. maja 1543. roku.

Król Zygmunt, pod którego berłem tak pomyślne dnie Polska przeżyła, odprawiając sejm w Piotrkowie ciężko zaniemógł. Przewieziony wskutek tego do Krakowa, umarł tu w 81. roku życia, w wielkanocną niedzielę dnia 1. kwietnia 1548. roku, pozostawiając ojczyznę naszą wielką, wolną i potężną.

Inż. Eustachy Śmiałowski.

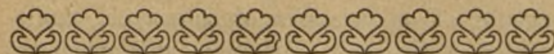
(Ciąg dalszy nastąpi.)



DO OJCZYZNY.

Ojczyzno! Ojczyzno, tyś gwiazdką przewodnią
Zbłąkanym żeglarzom śród morza,
W kopalniach Uralu tyś jasną pochodnią,
Co błędne wskazuje bezdroża:
W lodowcach Sybiru tyś słońcem płomiennym,
Co grzeje wygnańca pierś skrzepłą,
Tułaczom tyś marą, co jawisz się sennym,
Nadziei rozbudzasz w nich ciepło.
Ojczyzno, w pustyniach Sahary tyś zdrojem,
Co życie wędrowca ocalała,
Tyś więźniom nieszczęsnym czarownym napojem,
Co w sercu wytrwałość rozpala.
Ojczyzno! ty jesteś kochance kochankiem,
Lubemu majmilszą dziewicą,
Tyś wiosną uroczą, majowym porankiem,
Co pieści, rozmarza, zachwyca.
Śród urwisk skalistych tyś wdzięczną doliną,
Ubraną w kwiecistych barw krocie,
Stroskanym rodzicom ostatnią dzieciną,
A matką poznaną sierocie!
I tylko nad ciebie Wszechwładcę na niebie
Stęsknione twe dzieci przenoszą,
Żyć w tobie Ojczyzno i umrzeć za ciebie
To naszą jedyną rzkoszą.

W. L. Anczyc.



WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC.

Opowiem wam dziś o jednym z takich pracowników, który życie całe był najszczerszym przyjacielem ludu i mądrym a wytrawnym doradcą, który był właściwym twórcą polskiego dramatu ludowego i bodaj jeden z pierwszych u nas myślał już temu pół wieku o scenie ludowej, która dopiero dzisiaj poczyna się naprawdę rozwijać.

Władysław Ludwik Anczyc, urodził się lat temu 86 (12 grudnia 1823) w stolicy litewskiej, Wilnie. Ojciec jego był z zawodu aktorem, a także i autorem dramatycznym — a i matce scena nie była obcą. Małym dzieciątkiem wywieźli rodzice pierworodnego synka z grodu Kiejstuta — i po krótkim pobycie w Częstochowie i Warszawie, osiedlili się na stałe w Krakowie.

Pacholęciem będąc, przebiegał Anczyc okolice Krakowa i zapoznawał się z życiem i obyczajami ludu, któremu poświęcić miał życie całe twardej a bezinteresownej pracy. Nauki przyrodnicze (był aptekarzem z zawodu) jakim się z zapałem oddawał, przerwał smutnej pamięci rok 1846. Przykro mi wspominać przed Wami tę jedną z najczarniejszych kart naszej przeszłości.

Źli i podli bardzo ludzie — a przytem i ciemnota, która bywa zwykle matką występku — to były źródła i przyczyny bratobójczej rzezi, która oby kamieniem spadła nie na ślepe i nieświadome tego, co czynią, miecze — ale na zbrodnicze, czarne i ohydne dusze tych, którzy z za pleców kierowali ruchem!

Władysław Anczyc brał żywy udział w ruchu narodowym, który nietylko miał na oku zdobycie niepodległości — ale zarazem równość i wolność wszystkich, zamieszkujących naszą biedną ziemię — a przedewszystkiem zniesienie pańszczyzny, w jakiej wówczas włościanin pozostawał, i poprawę jego doli. Udział swój w rewolucyi przypłacił Władysław Anczyc 13-to miesięcznym więzieniem, ale bez porównania cięższym był dla niego cios, jaki mu zadał współudział chłopa polskiego w krwawym stłumieniu ruchu. Nie w nim jednak upatrywał głównego winowajcę; wiedział dobrze, że dusza tego chłopa, to dusza zaniedbanego dziecka, że myśl jego, spaczona i wykrzywiona wiekami ucisku i niewoli, skłonna jest i powolna złym podszeptom,

więc tu rozpocząć trzeba mu rozumną robotę, wskazać którędy biegnie granica pomiędzy dobrem a złem. Tedy, rzuciwszy w kilku bezimiennych wierszach („Emisaryusz“, „Zbój Galicyjski“ i i.) oskarżenie przeciwko właściwym sprawcom kainowego mordu w 46 roku, napisał Władysław Anczyc pod świeżem jeszcze wrażeniem niezabliźnionej rany „Chłopów arystokratów“.

Chłopi, którzy udają panów, którzy naśladują ich nie w tem co dobre i piękne — jeno w tem, co głupie i śmieszne. Od kiedy „jakiś pan Rajkstag ślachtę skasował“, przestali pracować, do połednia śpią, potem piją w karczmie, zostali „galant ślachcicami“. A jednocześnie utworzyły się w tem nowem jakoby społeczeństwie stany i kasty: gospodarze, jakoby stan panów i magnatów, który z góry spoziera i kuniruje zagrodników — a co dopiero prostych komorników! I lęgną się w tych obałamuconych i opitych głowach chęci zdrożne, stające na opak przykazaniu Bożemu o pożądaniu dobra bliźniego, które podsycać skrzętnie potrafi taki Mojsiek harendarz, co to do wszystkiego złego ludzi poduszcza, byle tylko sobie kabzę napchać.

Tak ci już w tym pierwszym znanym utworze dramatycznym skarcił Władysław Anczyc to, co mu się złe widziało w ludzie polskim.

Bardzo się była podobała ta sztuka Anczyca, wystawiona po raz pierwszy w teatrze krakowskim dnia 20. grudnia 1849 r. — albowiem pierwszy raz ujrzano na scenie prawdziwego. chłopa

Minęło od napisania „Cłopów arystokratów“ lat kilka; młody autor, zachęcony powodzeniem, nie próżnował.

W pięć lat po „Chłopach arystokratach“, wystąpił Władysław Anczyc z nową sztuką ludową, którą nazwał „Łobzowianie“. Wielka miłość autora dla ludu promienieje w tym obrazku pełnym blaskiem i wywodzi na widownię szereg postaci Łobzowian, mieszkańców wsi podkrakowskiej, postaci o uśmiechniętych twarzach i niezbrukanych duszach. Nawet ten Tomek parobczak nie jest zły z gruntu — tylko zbyt miękki, zbyt do hulanek i zabawy skory, zbytnio złym wpływom pokątnego pisarza ulegający. Tak ci to już zawsze na wsi musi się przyplątać jakaś zaraza, jakiś taki siewca złego, który na pokuszenie wodzi i znieprawia duszę chłopa. Znał dobrze tych wszystkich wrogów ludu Władysław Anczyc — i nie wahał się we wszystkich swoich utworach ludowych palcem ich wskazać. Uczynił tak z karczmarzem w pierwszej swojej sztuce — teraz przyszła kolej na takiego „Winkelschreibera“, co to pomiędzy chałupy zwadę i pieniactwo niesie i wodę mąci, byle tylko w niej rybę dla siebie ułowić.

Nie udało się to Protazemu w „Łobzowianach“, bo tam poznano się na farbowanych lisach — oby tak i w życiu rzeczywistem wszystkie zamachy jawnych i ukrytych nieprzyjacieli waszych na niczem pełzły — tego jak najserdeczniej pragnął Władysław Anczyc, otwierając Wam oczy na wszystko, coby rade powstrzymać rozwój myśli waszej i Wasz postęp moralny. To była zasadnicza zbożna myśl, jaka przyświeca całej ludowej twórczości Władysława Anczyca, a którą dzisiaj, po latach 25-ciu powinniście zrozumieć i uczcić.

Tej myśli służą również i „Flisacy“, który to utwór już w pół roku po napisaniu „Łobzowian“ był ukończony.

Ach ta gorzałka, ta gorzałka! Straszne to nieszczęście, okropna zaraza, gorzej cholery, bo zdrowie ciału i duszy odbiera. A tak to paskudztwo opęta nieraz człowieka, jak owo tego Błażka, co to mu się nijak robić nie chciało i panem na gwałt chciał być, bo mu się widziało, że panowie to wszystko lenie i nieroby. I kiedy się uchlał gorzały — gotów był duszę dyabłu zaprzedać, byle ten go w pana przemienił.

Wesoła i ucieszna to sztuczka ten „Błażek opętany“ i śmiejecie się pewno wszyscy, widząc, jak ciężko i niesporo było Błażkowi w pańskiej skórze, choć jej tak pierwej pragnął — ale i nauka leży dla Was na dnie

tego scenicznego żartu: poprzestawaj na swojem, wypełniaj sumiennie te obowiązki, jakie ci Pan Bóg wyznaczył, nie trwoń grosza na hulankę i pijatyki — a będzie ci dobrze na świecie.

Wiele przeciw pijaństwu napisał Władysław Anczyc. Straszne nieszczęścia, jakie zwykło za sobą pociągać nadużywanie trunków, zupełna utrata mienia i czci u ludzi — posłużyły mu za osnowę obrazka scenicznego któremu dał nazwę „Gorzałka“ — i przeznaczył jedynie do grania po wsiach.

„Gorzałkę“ napisał Anczyc w Warszawie (1862), dokąd się był z Krakowa pod koniec 1858 roku przeniósł.

Dziełem Anczyca, przedewszystkiem godnem pamięci i uwagi — to „Kmiotek“, pisemko dla ludu, które Anczyc redagował i w przeważnej części własnymi wypełniał artykułami przez pięć lat z rzędu (1861—1865). Przezwał się wtedy Kazimierzem Góralczykiem; chciał już samem brzmieniem nazwiska zbliżyć się i upodobnić do kmiotka, którego miał w piśmie swoim oświecać i pouczać — chciał zjednać sobie jego zaufanie, iżby go wysłuchał z uwagą i zrozumieniem.

Zrozumieli też i uznali zasługi Kazimierza Góralczyka włościanie. Gromadka ich zapukała pewnego dnia do drzwi redakcyi „Kmiotka“, dopytując się o Góralczyka, któremu przyszli podziękować za wszystko poczciwie, czem ich darzy.

Najpiękniejszy dzień w życiu przeżył wtedy Władysław Anczyc.

W parze z działalnością, jaką rozwinął Kazimierz Góralczyk w „Kmiotku“, idą książki i broszury, które dla ludu wydawał. Sporo ich rozeszło się między najszersze masy, krzewiąc myśli zacne.

W książeczkach tych podawał w przystępny sposób najważniejsze wiadomości z nauk przyrodniczych („Krótka nauka o ziemi i świecie“) i geografii („Księga sławniejszych odkryć geograficznych“), z dziejów ojczystych („Abecadlnik z historyi polski“, „Dzieje Polski w dwudziestu czterech obrazkach, skreślone dla użytku braci włościan“ — „Historya polska przez pytania i odpowiedzi“ — i wiele innych drobniejszych), — nie zapominając nawet o najmłodszych, dla których ułożył „Elementarz dla dzieci polskich“ i „Pierwszą książeczkę dla wiejskich dziatek, które już elementarz skończyły“.

A już na potępienie pijaństwa nie umiał dość słów znaleść: nie dość, że straszny ten nałóg wyśmiał i skarcił kilkakrotnie na scenie, nie dość, że na ten temat grzmiał wielokrotnie na szpaltach „Kmiotka“ — jeszcze temu samemu przedmiotowi poświęcił osobną książeczkę, którą nazwał: „Pijaństwo, zguba i nędza włościan“. Znał on dobrze nałogi, jakie nas gnębią i niszczą — i wypowiedział im nieubłaganą walkę. Tak naprzykład wiedział, jak straszne spustoszenia czyni, zwłaszcza wśród szerokich mas ludu miejskiego, mania loteryjna; przeglądał te wszystkie ogłupiające senniki egipskie, w których zdrowego sensu brak za grosz, a obliczone są jedynie na tumanie nie ludzi i napychanie kiesy różnym nieuczciwym wykpigroszom. Postanowił tedy wyprzeć te wszystkie głupie bezzeceństwa i zastąpić je sennikiem, który sam ułożył. Nie egipski to, ale taki katolicki, uczciwy wykładacz i objaśniacz snów. I bogdaj się ten „Sennik“ Anczyca znalazł w rękach każdego, który chce poznać prawdziwe znaczenie snu — a zarazem odzwyczaić się od nałogu grania w loteryę, która nie przedstawia niemal żadnych widoków wygrania, a staje się często przyczyną nędzy.

W roku 1867 powrócił Władysław Anczyc z Warszawy do Krakowa, w którym już do śmierci pozostawał, nie przestając ani na chwilę pracować z zapałem i prawdziwym zaparciem się, dla idei ludowej.

W rok po wydaniu „Sennika“ wystąpił z 5-aktowym obrazem ludowym, któremu dał tytuł — „Emigracya chłopska“.

„Nie wypuszczajcie ziemi z rąk waszych“ — woła Anczyc w 5-ciu aktach swojego dramatu — i zdobywa się przytem na taką siłę wyrazu, na tak wielkie napięcie dramatyczne,

jakiego nigdy ani przedtem ani potem w swoich utworach scenicznych nie osięgnął.

To przed czem zawsze i na różne sposoby lud przestrzegał — znalazło w „Emigracyi chłopskiej“ swój najpełniejszy i najdoskonalszy wyraz.

„Kościuszko pod Racławicami!“ Któż z nas nie poczuł łzy wzruszenia w oku na widok przysięgi Naczelnika na rynku krakowskim? Nie mamy drugiej sztuki polskiej, którąby osiągnęła tak wielką ilość przedstawień; dziś stała się ona niemal nieodłącznym punktem programu każdej uroczystości patryotycznej.

Prowadzimy do teatru gromady włościan na „Kościuszkę“ — a już i oni sami grają go na własnej scenie. A wrażenie pozostaje zawsze równie silnie, równie bogate i drogocenne na punkcie budzenia obywatelskich i patryotycznych poczuć szerokiej masy. Jest w tym utworze coś, co mu nieśmiertelność zapewnia, co zawsze jednakowo wrusza i rozrzewnia, zapala i podnosi, w słoneczny dzień przeszłości myśl nawraca. I jeżeliby przyszło odpowiedzieć wprost na pytanie: co zapewnia „Kościuszce pod Racławicami“ nieśmiertelność — rzekłbym: ukazanie nam przyszłości, której każde polskie serce pragnąć musi.

Jak świetlisty słup stoi „Kościuszko pod Racławicami“ u końca życia Władysława Anczyca — i jasnym snopem światła oświeca tę twarz spracowaną dzielnego szermierza sprawy ludowej, który wśród razów bolesnych, jakich mu nigdy nie szczędziło życie, zdołał aż do końca zachować dziecięcą iście prostotę serca, głęboką i niezachwianą wiarę w chłopską duszę i silne poczucie konieczności trwania na posterunku, który nie dawał ani materyalnego dobrobytu, ani nie obiecywał rozgłosu i uznania u potomnych.

Zmarł 28 lipca 1883 r. na serce.

Zrazu odczuto stratę boleśnie; posypały się w dziennikach wspomnienia pośmiertne, podnoszące wysoko zasługi zmarłego, wmurowano tablicę pamiątkową w kościółku św Salwatora na Zwierzyńcu, obok którego pragnął na wieczny spoczynek się ułożyć — i rzucono piękną myśl zebrania funduszu im. Władysława Anczyca, z którego odsetki stanowiłyby nagrody dla najlepszych sztuk ludowych. Pomnik byłby to trwalszy nad spiże, myśl ze wszech miar godna poparcia ogółu.

Działalność ludowa Władysława Anczyca jest budującym przykładem, jak taką pracę prowadzić należy. Dzisiaj w 25-tą rocznicę śmierci autora „Emigracyi chłopskiej“, chcieliśmy przypomnieć ogółowi tę postać dobrze zasłużonego obywatela.

Myśl utworzenia funduszu imienia Władysława Anczyca — ponawiamy dzisiaj, ufni, że ogół, który z taką ofiarnością spieszy zawsze na wezwanie naszych towarzystw oświatowych, poczuje się i tym razem do obowiązku poparcia akcyi, która ma za cel rozwinięcie dramatu ludowego, wzbogacenie tak bardzo do dzisiaj małej ilości sztuk dla sceny włościańskiej.

Pod koniec do was się zwracam, kochani bracia włościanie.

Jakby to pięknie było, żebyście i wy wzięli udział w takim uczczeniu pamięci waszego wielkiego przyjaciela. Nie trudna to rzecz: grywacie tak często utwory Władysława Anczyca — odegrajcie je i teraz po wszystkich okręgach, po wsiach, miasteczkach i miastach. Poproście, niech wam kto z miasta opowie o Kazimierzu Góralczyku, który tak gorąco pragnął waszego dobra, zadeklamujcie jeden z licznych jego wierszyków dla was napisanych i zagrajcie „Chłopów arystokratów“ albo „Łobzowian“ albo jaką inną ze sztuk ludowych Anczyca — zaś dochód z widowisk przeznaczcie na utworzenie takiej sumy pieniędzy, z którejby potem wynagradzano najlepsze sztuki, dla was pisane.

Wszakże o waszą sprawę tu chodzi; a tak co roku w dnie zaduszne idziecie na cmentarz i wzdychacie tam za dusze ojca, matki lub kogoś, kto wam był blizki i kochany. A dyć Władysław Anczyc nie gorzej wam życzył od rodzonego ojca, naharował się dla waszego dobra przez życie całe. I jakże tu nie wspom-

nieć o takim serdecznym druhu i opiekunie w 25-cio letnią rocznicę jego śmierci.

Pomyślcie tylko, jakby się ucieszył duch jego, widząc, żeście nie przypomnieli o nim i wdzięczną pamięć mu okazujecie.

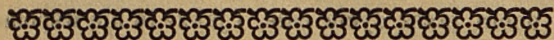
(Przedruk) *M. Szyjkowski.*



POSZŁABYM.

Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury puch łabędzi,
W ciemną mroczną dal...
Tylko mi cię żal,
Ty ziemio,
Gdzie kurhany ciche drzemią,
Gdzie się w stepach bielą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żałości,
Tylko mi cię żal!
. . . .
Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do dunaju, do swobody,
Do szumiących fal...
Tylko mi cię żal,
Ty chato,
Pod tą lipą rosochotą.
Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosy —
Tylko mi cię żal!
. . . .
Poszłabym ja w Ukrainę,
Za to morze, za to sine,
Poszłabym ja na stracenie,
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal...
Tylko mi cię żal,
Sokole,
Co nad nasze latasz pole,
Ponad pole, ponad niwę,
Latasz, gubisz piórka siwe —
Tylko mi cię żal!

M. Konopnicka.





Dziewica orleańska.

Pięć wieków dobiega, jak zaszło we Francyi zdarzenie nadzwyczajne, niemal cudowne, które wywarło ogromny wpływ na rozwój i ukształtowanie się tego państwa. Na tronie „arcykatolickich królów“ (bo tak zwali się monarchowie Francyi od św. Ludwika (IX.) począwszy) zasiadał wtedy Karol VI. z rodu Walezych, pan dobry i szlachetny ale podlegający chorobie umysłowej i dlatego znany w historyi pod nazwą „Karola obłąkanego“ Za jego rządów zwaliło się na kraj straszne nieszczęście.

Już od dłuższego czasu prowadziła Francya zacięte walki z Anglikami, których królowie — poniekąd nawet słusznie rościli, sobie prawa do korony francuskiej. Ale poprzednicy Karola VI, dzielni, mądrzy i obdarzeni zaufaniem i miłością ludu swego, szczęśliwie wojowali, podczas gdy teraz, król słaby i zniedołężniały, nie mógł dać sobie rady z wrogiem tembardziej, że i wewnątrz kraju nie było spokojnie. Francya była naówczas rozdzielona (podobnie jak Polska za Piastów) na kilka, niemal że udzielnych księstw, których władcy mimo, iż byli poddanymi króla francuskiego — zawsze się z pod tej przewagi wysuwali i na własną rękę w swych prowincyach rządzili — a nierzadko łączyli się z obcymi przeciw zwierzchniczej swojej władzy. Tak też i wtedy się stało. Książęta normandzki i burgundzki wystąpili przeciw królowi, a nawet ten ostatni zawezwał Anglików, zawsze czyhających na zdobycze we Francyi i zawsze gotowych do wojny z nią.

Rozpoczęto więc bratobójczą walkę. Biedny król chory i opuszczony — nawet przez własną żonę i najbliższych krewnych — robił co mógł, aby zażegnać niebezpieczeństwo, ale nadaremnie! Anglicy zajmowali prowincyę za prowincyą, aż dotarli do Paryża,

gdzie nawet ogłoszono króla angielskiego — Henryka V — prawowitym następcą tronu francuskiego!

Wreszcie połowa Francyi wpadła w ich ręce; zagony angielskich wojsk sięgały aż po rzekę Loarę! — Zdawało się, że już, już, a Francya jako samoistne państwo zginąć musi — że nie ma dla niej ratunku, że nikt i nic ją z pęt i niewoli — jaką jej Anglia gotowała nie wyzwoli. — A przecież inaczej się stało. I pomoc i ratunek i wyzwolenie przyszły za wolą Boga, w sposób iście cudowny przez ręce młodej, skromnej, niewinnej i prostej dziewczyny.

* * *

Wśród tej zawieruchy wojennej umarł Karol VI. Syn jego tak zwany „Delfin" (każdy następca tronu francuskiego nosił tytuł Delfina) — niemal bez wojska i bez przyjaciół, schronił się do południowej Francyi i zwątpił o możliwości wyparcia wrogów — którzy właśnie wtedy oblegali miasto Orlean, uważany za bramę, prowadzącą do zaboru reszty kraju. — W rozpaczy pogrążony królewicz z resztkami swych wiernych żołnierzy znajdował się właśnie w obozie pod Chinon, (czyt. Sziną) gdy dnia jednego 1429 roku stanęła przed nim nieznana nikomu, 17 letnia wiejska pastuszka Joanna d'Arc (czyt. Dark) z wioski Domremy pochodząca i objawiła mu wolę Boga — który rozkazał jej oswobodzić Francyę i Karola na tron praojców wprowadzić.

Zrazu przyjęto ją z nieufnością, ale gdy przekonano się, że istotnie Bożą łaską obdarzona natchnioną jest owa dziewczyna, a lud cały i wojsko z zapałem ją wita jako zbawczynię kraju, zgodzono się na jej żądanie, tj. powierzono jej 3000 żołnierzy i wysłano na odsiecz Orleanu.

Joanna dostawszy się galarami do miasta, wywołała zapał niesłychany, a w ośm dni potem, uderzywszy na mury — zatknęła na nich, mimo otrzymanej rany — swój sztandar zwycięzki. Orlean był oswobodzony, a Anglicy w popłochu opuścili miasto.

Wypadek ten utwierdził powszechną wiarę w święte posłannictwo dziewicy — i obudził w masach ludzi spiące dotąd uczucia miłości ojczyzny i poświęcenia.

Po tem zwycięstwie Joanna powzięła śmiały zamiar przebicia się przez ziemie, zajęte przez wrogów i dotarcia do Rheims — stolicy koronacyjnej królów. Po drodze pobiła dwukrotnie Anglików i nawet wodza ich, nieustraszonego Talbota, wzięła w niewolę. Teraz wyruszył i Karol za nią, połączył się z nią pod Chalons (czyt. Szalą) — i wszedłszy do Rheims, w tamtejszej katedrze włożyć na skronie swe koronę przodków. Podczas koronacyi stała Joanna ze swym sztandarem tuż obok tronu. Król wynagradzając jej zasługi — obdarzył ją szczodrze — a ojca jej i rodzinę wyniósł do godności szlacheckiej, wioskę jej rodzinną zaś uwolnił od wszelkich opłat po wieczyste czasy.

Następnie wyruszyła Dziewica na Paryż, ale została raniona i odparta. Po krótkim wypoczynku na dworze królewskim — znów udała się na czele wojennych hufców na północ. W drodze owładnęło ją przeczucie bliskiego nieszczęścia, ale Anglicy, którzy uważali ją za czarownicę, jako działała cudowne rzeczy — bali się jej tak bardzo, iż wszędzie uchodzili przed nią w popłochu.

Pod Compiègne (czyt. Kąpień) jednak podczas nocnej wycieczki — została odciętą od swoich i dostała się do niewoli. Osadzono ją w więzieniu — następnie przewieziono do Rouen i tam, jako oskarżoną o czary według ówczesnych zwyczajów skazano na śmierć, którą też poniosła z prawdziwie chrześcijańskiem bohaterstwem — żywcem spalona na stosie dnia 30 maja 1431 r.

Ale ze śmiercią Joanny nie zginęła jej posłannicza działalność. Skutkiem bowiem rozbudzonego patryotyzmu, oręż francuski odnosił zwycięstwo po zwycięstwie. Król pogodził się z rodziną i zbuntowanymi książętami — Paryż Anglikom odebrał — i powoli ale stale oswobadzał od nich Francyę.

Odtąd kraj wolny od najeźdźców podnosił

się pod każdym względem. Miasta i lud wiejski pracą zajęte mogły wkrótce posiąść dobrobyt, oświatę i szczęście. Potęga zewnętrzna i rozrost państwa francuskiego są więc bezpośrednim skutkiem czynów Joanny d'Arc, którą w historyi nazywają „Dziewicą Orleańską" — i którą w pięćset lat po jej błogosławionem wystąpieniu na polu chwały kościół uznał za świętą. Dziś cały naród czci ją jako bożą służebnicę, przez której bohaterskie czyny i męczeńską śmierć, Francya przoduje w pochodzie cywilizacyjnym wszystkim europejskim krajom.

M. T. Bł.



WYPĘDZONE!

Ciągnie wojsko długim szeregiem. Dużo żołnieży idzie uzbrojonych, a są i tacy, którzy niosą nahaje.

W Mińsku to się dzieje, w roku 1838. Gdzie Mińsk? Daląko, daleko od nas — na Litwie, nad rzeką Świstoczą, leży stare miasto Mińsk.

Teraz we wrześniu roku 1838 w Mińsku ciągnie wojsko carskie długim szeregiem. Lud zaniepokojony patrzy z trwogą.

— Gdzie idą?..

— Będzie coś strasznego...

— Jakaś kara, ale nie wiedzić na kogo...

— Idą do klasztoru!.. Dla Boga! do klasztoru!... wybiegają ludzie przestraszeni, patrzą, wzrok ich zda się kamienieje przykuty trwogą i lękiem spoczywa na tym szeregu żołnierzy zbrojnych i nahaje niosących.

— Mamo!.. woła pachole młode.. po co do klasztoru wojsko idzie, wszak tam tylko kobiety same, czyż walka będzie z zakonnicami?

Matka przyciska dziecię do łona i szepce przez łzy:

Kto tak żyje w niewoli jak my — ten i na takie obrazy patrzyć musi.

— Mamo!.. woła chłopię podnosząc rączki wyżej... Czemuż kto nie zatrzyma wojska z nahajami? Czemuż kto nie powie: — nie wolno iść...

— Już wszystkich tych, co bronili Polskę car pomordował i na Sybir wysłał, teraz bronić niema komu...

Dziecko rwie się, pędzi jak strzała, pod drzwi klasztorne bieży, ono chce stanąć w obronie.

Żołdacy odpychają kolbami — krwią oblane dziecko toczy się pod nogi carskiego wojska, pochód staje u furty klasztoru.

Dzwonek.

Blada siostrzyczka pyta:

— Do kogo przyszli?..

— Jest rozkaz, wszystkie zakonnice wyjść muszą z klasztoru.

— Za co taka kara?

— Bo nie chciały przejść na prawosławie nie chciały porzucić katolickiej wiary, nie uznały cara najwyższą władzą..

Wśród murów klasztoru cisza.

Rozległ się dzwonek. Przełożona matka Maksyma Mieczysławska wzywa zakonnice do kaplicy.

— Musimy wyjść z klasztoru, car kazał!

— Pójdziemy, odpowiadają kornie zakonnice.

— Będą nas prześladować i męczyć, byśmy prawosławie przyjęły..

— Wytrwamy w cierpieniu i męce.

— Chrystus niech nas prowadzi.. chodźmy!..

Oficer do drzwi dobija się ostro.

— Prędzej!..

Wychodzą. Trzydzieści cztery sióstr zakonnych, Bazylianek z przełożoną matką Maksymą Mieczysławską wychodzi z murów klasztoru..

Niosą krzyż ubogi, drewniany krzyż, jedyny skarb, najdroższą pamiątkę.

Oficer jeszcze chce zabronić by i krzyża nie brały lecz litość w nim się budzi.. niech biorą..

Wychodzą z klasztoru.. Wojsko otacza je łańcuchem, bagnety najeżone, nahaje w ręku, komenda brzmi ostra: — Naprzód! Tłumy ludu stają dookoła, patrzą i płaczą..

— Gdzie idziecie siostry dobre, ciche, kochane siostry z klasztoru, gdzie wy idziecie? kiedy wrócicie?..

— Milczenie! nie wolno pytać! nie wolno odpowiadać!

— Za co wypędzacie z klasztoru ciche dusze, które nie uczyniły nikomu przykrości, które tylko dawały dobrą radę i spełniały miłosierne uczynki — za co wypędzacie?..

— Nie wolno pytać! car podpisał wyrok, car każe karać, prawosławia przyjąć nie chcą.

Ozwała się komenda, żołnierze pędzą zakonnice, nahaje świszczą...

Trzydzieści cztery zakonnic idzie z szeptem pacierza, niosą tylko krzyż drewniany, i jedyną broń tylko mają: wiarę silną.

— O matko! szepce pacholę... nikt ich nie obroni?..

— Wyrosną ci dopiero, którzy do obrony wstaną..

Przypędzono do karczmy.

Tam zaczęto łańcuchy zakładać. Po dwie razem kuto i ręce i nogi.. a łańcuchy silne, ciężkie, mocne.

Car się musi okazać potężnym mocarzem, ma przecież tyle wojska i tyle łańcuchów a tu 34 zakonnic z drewnianym krzyżem w ręku, wygnanych z murów klasztoru idzie z szeptem pacierza.

Któż wygra jeśli nie silny, potężny car?..

Lud płacze, zaciska pięści, zemstę poprzysięga w głębi duszy, ale do walki nie stanie — czuje się bezbronnym i bezsilnym...

Niewolnik.. Niewolnik tylko może być świadkiem podobnej chwili i tylko bezbronny może patrzeć jak nahajami popędzają zakonne siostry za to, iż nie zmieniły wiary.

Jeśli kto rzec odważy się, iż niewola nie jest męczeństwem strasznem niech tę jedną chwilę w wspomnieniu obaczy.

W Mińsku płaczą i stają bezbronni..

Kilkadziesiąt sierot wlecze się za pochodem zakonnic.

— Kto się nami zaopiekuje? Kto nas przytuli? Kto uczyć nas będzie wiary i pacierza?

— Idźcie sieroty biedne!.. Już klasztor pusty, już niema tych serc, które dla was biły miłością.. idźcie sieroty w świat daleki szukać litości i opieki —car nie pozwoli zakonnicom wrócić..

Na drugi dzień z karczmy pędzą zakonnice... Nie wrócą nigdy do Mińka.

Daleka droga dla nich — na północ do Witebska, Pieszo, bite, popędzane, przekleństwami obrzucane idą otoczone łańcuchem żołnierzy, okute, dźwigają ciężkie kajdany i niosą krzyż.

Dwa lata biedne zakonnice przeżyły w Witebsku zamknięte w więzieniu.

Przez te dwa lata męczono je w najokropniejszy sposób, głodem morzono, kazano pracować nad siły, bito i ciągle pytano czyli wiarę zmienią.

Czasem jakaś litościwa osoba przez parkan więzienny wrzuciła ułamki chleba, to zakonnice chwytały, i dzieliły się okruszynami.

Czasem żydzi przysyłali biednym zakonnicom nieco pożywienia.

Nie jeden raz brahę ciepłą, tę, którą się daje wieprzom na pokarm, zakonnice otrzymywały jako posiłek.

— Przyjmiecie prawosławie? pyta codzień wysyłany moskal, lecz odpowiedź jedną otrzymuje:

— Nie zmienimy wiary!

W kajdanach je pędzą do kopania rowów, omdlewają wątłe kobiety, ręce krwawią się, nogi puchną...

Za dwa lata znów wygnane biedne za, konnice z Witebska do Płocka, tam codziennie były bite i smagane powrozami z węzłami, ale i to nadarmo. Wiary nie zmieniły

Doprowadzono do tego, iż dwa razy na tydzień każda zakonnica obnażona zupełnie dostawała po 50 rózeg — karmiono je śledziami, kropli wody nie dawano, głodzono w niemiłosierny sposób.

Do budowy pałacu w Połocku posyłano zakonnice.

Przy wydobywaniu gliny ziemia się usunęła, 5 zakonnic zasypało.

Nikt nie pospieszył na pomoc.. niech giną!

Przy budowie, rusztowanie się obaliło, zabiło 9 zakonnic.

Znowu 3 siostry zginęły zabite przez ceber z wapnem.

Zostało tylko 19...

Popędzono te znowu do Madrioda, ażeby znowu w inny sposób męczęństwo prowadzić.

Maksyma Mieczysławska zdołała wkrótce wyrwać się z rąk katów i z trzema zakonnicami uciekła za granicę — ona też jako prawdziwa męczennica dała ludom Europy świadectwo o tem, czem są rządy i rozkazy cara w Polsce.

Wypędzone z Mińska ubogie zakonnice niech staną niejeden raz przed naszymi oczyma i niech przypominają nam, iż męczęństwo narodu polskiego jeszcze nieskończone.

Podpisał car wyrok na zamykanie kościołów i klasztorów – żołnierze idą, lśnią bagnety, łańcuchy dzwonią.. lud trwożny pyta:

— Gdzie obrońce?

Kto bronił bezbronne zakonnice, a jednak zwyciężyły.

Jakież to wyroki były na Polskę pisane, a jednak ona żyje...

„Paść może i naród wielki“

„Zniszczeć nie może, tylko nikczemny“.



Pielęgnowanie niemowląt aż do ząbkowania

(Ciąg dalszy).

Niemowlęta ubiera się w następujący sposób. Na poduszkę lekko napełnioną pierzem kładzie się najpierw kawał białej flaneli lub baii, następnie podkład kauczukowy, a na to dopiero pieluszkę, pieluszkę złożoną w krzyżówkę obróconą wierzchołkiem na dół. Wszystkie rzeczy przed ubraniem niemowlęcia powinny być przed użyciem ogrzane, nawet każda pieluszka przed użyciem powinna być ogrzana, i tej ostrożności nie należy nigdy zaniedbywać, zwłaszcza w zimie, bo niemowlęta są ogromnie wrażliwe na zimno, a wszelkie nawet najmniejsze przeziębienia są dla nich bardzo szkodliwe.

Na tak przysposobioną poduszkę kładzie się dziecko, obejmując lewą ręką górną część ciałka, tak aby trzy palce zostały wolne dla podparcia tylnej części główki, prawą ręką zaś obejmuje się, czterema palcami dolną część krycia, a wielkim palcem dolną część brzuszka w sposód, tak aby ten palec znajdował się po stronie prawej a nie na linii środkowej. Pieluszki nie powinny wyżej zachodzić jak tylko pod poduszki, aby dziecko rączki miało wolne. Zanim się włoży dziecku koszulkę należy puszki, szyjkę, pępuszek i zauszki, a bardzo tłustym dzieciom w zgięciu łokciowym i podkolankami, jak również wszędzie gdzie tylko wyprzałe, zasypać proszkiem z nasienia widłaku (lycopodium) lub pudrem Haja, kupionym w aptece lub też mączką z krochmalu ryżowego. Po zasypaniu wkłada się koszulkę płócienną z tyłu otwartą a na nią kaftanik również z tyłu otwarty i jak koszulka na plecach związany. Kaftanik powinien być w lecie cienki bawełniany, zaś w zimie ciepły wełniany. Ubierając dziecinę najlepiej jest przysposobić sobie koszulkę i kaftanik tak, aby oboje za jednym zachodem włożyć t. j. włożyć kaftanik na koszulkę a następnie włożyć palce w środek rękawka i zebrać go tak aby rączka dzieciątka odrazu przeszła, lub w tak zmarszczony rękaw włożyć trzy palce i delikatnie rączkę dzieciątka przeciągnąć. Potem odwraca się dziecinę na prawy boczek i zawiązuje wszystkie cztery tasiemeczki razem, t. z. dwie prawe i dwie lewe jakby jedną. Następnie owija się trójkątną pieluszką tułów dziecka, a dolną część pieluszki przekłada się pomiędzy nóżkami ku przodowi. W ten sposób dziecina jest tak jak gdyby była w majteczkach, które niepozwalają wypróżnieniom rozlewać się po bokach. Kauczukowy podkład wraz z flanelą otula całe ciałko dziecka i owija się go od strony lewej ku prawej. Wszystko to utrzymuje się w porządku, dolną częścią poduszki

napełnionej lekko pierzem, zgiętą od nóg do połowy brzuszka i zlekka przewiązaną trzema szerokiemi taśmami. Poduszki graniaste jako niepraktyczne do powijania niemowląt powinny już raz zostać usunięte a należy je zastąpić poduszkami długiemi jakich używają w miastach. Poduszka graniasta jest nie tylko nie wygodną do noszenia dziecka, ale dla samego dziecka jest szkodliwą. Raz już dlatego, że wszystkie trzy rogi schodzą się prawie w jednem miejscu, co jest stanowczo za grubo i za ciepło, powtóre, że dziecko powinięte w taką poduszkę musi być silnie skrępowane powijakiem, gdyż inaczej wysunęło by się z poduszki, zaś takie silne krępowanie dziecka jest dla niego wprost szkodliwem, gdyż tamuje ruchy dziecka, dziecko powinno leżeć wygodnie i swobodnie. Takie ubieranie dziecka powinno się odbywać szybko i ostrożnie. Pieluszki, któremi się owija dziecko, nie powinny tamować ruchu nóżek lub rączek bo ruch ich dopomaga do swobodniejszego oddechania.

Nakrycie główki powinno być zimową porą lekkie i niezbyt ciepłe, jeden czepeczek przeźroczysty wystarczy, latem zaś niepotrzeba żadnego nakrycia, wszelkie czepki ciepłe i watowane są szkodliwe, bo w dziecięctwie mózg jest organem najdrażliwszym, trzymanie zaś głowy ciepło może sprowadzić zapalenie mózgu. Powtarzam jeszcze raz, że nie należy pozwalać na mocne krępowanie dzieci powijakami, prócz tego należy kilka razy dziennie dziecko rozpuścić i dać mu swobodę wyciągnięcia się i wywijania rękami i nogami po kilka minut. (C. d. n.)

Zachęta.

Dawid Procentstein, agent towarzystwa ubezpieczeń od wypadków, werbuje nowego klienta, temi słowy: „Ja panu radzę, niech się pan u mnie ubezpieczy, bo to złoty interes. Naprzykład, niech sobie pan złamie rękę to pan zaraz dostaniesz 5 tysięcy. Złamie pan nogę, to dostajesz 10 tysięcy, a jak pan złamie i kark i ręce i nogi, to już zostaniesz panem całą gębą.



WIEŚCI ZE ŚWIATA.

ODEZWA!

Bladzi nędzarze przy cudzym warsztacie,
Co zasypiają pod snów ciężką strażą,
I ci co wloką dni w zapadłej chacie —
Czy oni marzą?
M. Konopnicka.

Ot lat stu — i więcej, bo od czasów Kościuszki — zadawały sobie wszystkie przewodnie duchy Narodu, pytanie: „Czy miłość, wiara i ofiara dla Ojczyzny mogą stać się hasłem milionów“. A za tymi poszła nie tylko myśl, nie tylko pragnienie — lecz praca wytrwała i płodna całych pokoleń, by śpiących rycerzy zbudzić i uczynić z nich świadome celu hufce prawdziwych Polaków.

I ziarno rzucone wzeszło, bo padło nie na opokę, lecz na szlachetne serca i zdrowy rozum naszego ludu — a dzisiaj widać już plon bogaty: poczucie obywatelskie najszerszych warstw, które stają się w oczach naszych tem, czem dawno być powinny, olbrzymim i niezłomnym fundamentem narodowej przyszłości.

Że lud polski ocknął się z wiekowego letargu, że wchodzi na drogę wskazaną przez Kościuszkę i przez Poetów — tego dowodem jest nasze życie publiczne, w którem siermiężne tłumy pospołu z innymi stanami dzielnie podtrzymują sztandar narodowy.

I nigdzie, w żadnym z trzech zaborów, podszepty, wzywające do waśni społecznej nie znajdują oddźwięku pod strzechą włościańską. Przeciwnie, właśnie z pod tej strzechy podnoszą się głosy, na które zadrgnąć musi radością i nadzieją każde serce polskie, głosy chłopskich poetów, którzy w prostych i gorących pieśniach dają wyraz nietylko własnym swoim uczuciom, ale całego włościaństwa.

Jednym z owych śpiewaków wiejskich, co takie uczucia, takie myśli dobywają z siebie i pomiędzy ludem głoszą, jest Ferdynand

Kuraś, prosty samouk, twórca zbiorku również szczerych i rzewnych piosnek. Zrodził on się w zagrodzie chłopskiej. nad Wisłą, pod samym Tarnobrzegiem.

Tam, to do dziś dnia — ubogi, bezrolny poeta ludowy pracą wyrobniczą musi krwawo zarabiać na powszedni chleb dla siebie i rodziny.

Walka o byt pochłania najlepsze jego siły gnębi w nim dar pieśni, on zaś, potomek rolników zrodzony do pługa, schnie z tęsknoty za własnym zagonem, o którym nawet i marzyć nie może.

Na widok, jak w twardym znoju targa się i marnuje talent od Boga samego dany mu na pożytek społeczeństwa — powstała w Tarnobrzegu myśl, by ze składek, zbieranych w całym kraju, zakupić dla poety kilkumorgową zagrodę włościańską.

W tym celu zawiązał się w Tarnobrzegu pod protektoratem J. E. Stanisława hr. Tarnowskiego, prezesa Akademii umiejętności w Krakowie, Komitet, który prosi wszystkich ludzi dobrej woli o przyczynienie się do urzeczywistnienia myśli tej, zrodzonej wśród szerokich kół włościaństwa powiatu tarnobrzeskiego, a wszystkie Redakcye pism polskich o powtórzenie niniejszej odezwy i pośrednictwo w zbieraniu składek.

Skarbnikiem Komitetu jest p. Ludwik Kuryłło w Dzikowie.

Niechajże poeta, który głosi zgodę i miłość wszystkich stanów — od wszystkich stanów otrzyma zaszczytną nagrodę; niechaj spłacheć własnej ziemi orze ten śpiewak ludowy, który ukochał całą ziemię polską „od morza do morza“.

Przewodniczący: *Eugeniusz Swoboda*, b. starosta w Tarnobrzegu.

Sekretarz: *Aleksander Domański*, sędzia w Tarnobrzegu

Zastępcy przewodniczącego:
Ks. Kan. Szczęsny Rudnicki w Wielowsi i Jan Słomka wójt w Dzikowie.

Skarbnik: *Ludwik Kuryłło*, kasyer dóbr dzikowskich (Dzików p. Tarnobrzeg).

Wybuch prochowni w Podgórzu pod Krakowem.

W sobotę dnia 5 czerwca wieczorem w czasie burzy piorun zapalił prochownię w Podgórzu pod Krakowem. Prochownia wyleciała w powietrze, siejąc wokoło straszne zniszczenie.

Na szczęście ofiar w życiu ludzkiem niema żadnych. Natomiast liczba rannych wynosi około 300 osób.

O tym strasznym wypadku przyniosły pisma krakowskie następujące szczegóły: wieczorem w sobotę przeciągała ponad Krakowem i jego okolicą ogromna burza. Pioruny uderzały jeden za drugim. Koło godziny 7 uderzył piorun w jeden z magazynów amunicyjnych czyli w prochownię, stojącą na wzgórzu pomiędzy Podgórzem a Wieliczką. W jakie 10 minut potem nad dachem prochowni ukazał się dym. Za chwilę oślepiający blask oświecił całą okolicę. Wraz z nim rozległ się straszny huk jakby trzęsienia ziemi. Huk był tak straszny, iż miało się wrażenie, że całe miasto legło w gruzach.

Przerażeni, ogłuszeni ludzie, zaczęli w popłochu uciekać z domu na pola. Straszny krzyk: „prochownia się pali!“ pędził nieszczęśliwych na oślep. Nawpół obłąkani, biegli gdziekolwiek, byle dalej od strasznego źródła ognia. Na dolinie zaroiło się od gromad, pędzących po gliniastem błocie pól. Dzieci, nie mogące nadążyć za starszymi, rozpaczliwie wołały o pomoc, rodzice chwytali je na ręce i unosili. Fala kierowała się głównie ku Podgórzowi, do wapiennika i na stacyę w Płaszowie.

Nie dosyć atoli tego przerażenia. Ten pierwszy wybych, to był wybuch prochu, którego miało się znajdować w prochowni około 12 tysięcy kilogramów. W piwnicach zaś prochowni były granaty i kule armatnie w ilości około 15 tysięcy sztuk. I do nich dostał się ogień Nastąpiła tedy istna kanonada, wybuch za wybuchem. Granaty leciały jak deszcz, siejąc zniszczenie i straszną trwogę. Jedne, wylatując rozpadały się z hukiem na części, ude-

rzały w domy, w dachy, lub grzęzły w ziemi. Wybuch następował jeden za drugiem. Z początku co parę minut, później nieco żadziej. Niektóre granaty padały w oddaleniu o kilka tysięcy metrów od prochowni. Kanonada taka trwała aż do godziny pierwszej po północy.

Jak straszną była siła wybuchu, oraz co za ogrom zniszczenia sprawiła niech posłuży za przykład, że w samym Krakowie, oddalonym o 4 do 5 kilometrów od nieszczęsnej prochowni, wyleciało tysiące szyb z okien. Jedna z wieżyczek głównej wieży kościoła Maryackiego znacznie uszkodzona. — W najbliższem zaś otoczeniu owej prochowni, w promieniu kilkuset metrów nie pozostał ani jeden dom cały; najwięcej ucierpiały przysiółki: Słomówka ad Podgórze, Basistówka ad Płaszów, Wola Duchacka. Kasztelanka. W Podgórzu trudno znaleść bodaj jedno całe okno. Wszystkie szyby wyleciały. Stacya kolejowa Podgórze-Płaszów zupełnie zniszczona. Na sto domów w Woli Duchackiej tylko dwadzieścia nie uległo zniszczeniu. Reszta jakby po trzęsieniu ziemi lub po pożarze. Wszędzie gruzy, zwaliska, kupy spadłych dachówek, potłuczonych szyb, wyrwanych okien, drzwi, belek. Chaty świecą dziurami jakby sita. W około pełno ludzi pokaleczonych, przelękłych, ogłuszonych. Najwięcej ran doznali od szyb i dachówek. Życia nikt nie stracił. Nawet biedny żołnierz, stojący na warcie koło prochowni ocalał. Wybuch obalił go na ziemię.

Zaraz na wieść o wybuchu prochowni wyjechało z Krakowa wojsko osobnym pociągiem do Podgórza. Silny kordon żołnierzy, żandarmeryi i policyi otoczył prochownię, nie puszczając nikogo w pobliże wypadku. O gaszeniu pożaru nie było mowy. gdyż ciągłe wybuchy granatów i obawa, że inne prochownie mogą eksplodować, broniły dostępu straży pożarnej. Dopiero po ustaniu kanonady, już nad ranem, przystąpiono bliżej, i zajęto się odszukiwaniem rannych, o ile już przedtem nie wydostali się w bezpieczne miejsce. Żołnierze zbierają granaty. których pełno po polach, po drogach, a nawet na strychach domów. Z rana w niedzielę przybyła też generalicya wojskowa dla obejrzenia wyrządzonych szkód w prochowni i w mieniu sąsiadujących właścicieli domów. Szkody są olbrzymie. Straty w zniszczonych materyałach wojennych obliczają na miliony. Nadto wojskowość musi wypłacić odszkodowanie gospodarzom oraz ponieść koszta leczenia rannych.

W dalszym ciągu komisya starostwa podgórskiego objeżdżała obszar katastrofy. Najwięcej ucierpiał obszar naokoło Płaszowa i Woli Duchackiej, oraz domy i składy Sprechera w Słomówce.

W Tymczaku zawaliło się wiele uszkodzonych domów, a wielu innym grozi zawalenie. W domach tych mieszka kilkanaście rodzin służby kolejowej z Podgórza, które po największej części mieszczą się obecnie po szopach, a nawet stajniach i chlewach. Ciągle jeszcze nieszczęśliwi ci ludzie zbierają resztki swego dobytku, leżące pod gruzami. Ze względu na grożące niebezpieczeństwo, komisya zarządziła bezzwłoczne opuszczenie ruin, tak że blisko 250 osób pozostało bez dachu. Magistrat podgórski, do którego zwrócono się o pomoc, udał się do komendy wojskowej o wypożyczenie namiotów.

Ze strony wojskowości objeżdża komisya miejsce katastrofy dla ustalenia szkody. Środtrum wybuchu przeciągają liczne patrole, poszukując rozrzuconych po polach pocisków.

Kraków na wulkanie.

Na posiedzeniu Rady miasta, na którem przeprowadzono dyskusyę w sprawie eksplozyi, przygotowano mapę przedstawiającą, w jaki sposób miasto dookoła jest otoczone wieńcem prochowni. Jest ich razem sześć, rozmieszczonych w następujących punktach:

1) magazyn dynamitu w Chełmku, oddalony o 6·5 klm. od rynku krakowskiego;

2) prochownia w Skotnikach, oddalona o 6·15 klm. od rynku;

3) prochownia w Bonarce, oddalona o 3·28 klm. od rynku, a 1·65 klm. od Podgórza;

4) laboratoryum artyleryjskie na Grzegórzkach, oddalone o 1·65 klm. od rynku;

5) prochownia za Rakowicami, oddalona o 5·92 klm. od rynku;

6) Prochownia na drodze do Węgrzec, oddalona o 5·1 klm. od rynku.

Najniebezpieczniejszem jest laboratoryum na Grzegórzkach, w którem jest mnóstwo materyałów wybuchowych, którymi się ciągle działa.



O nasze kresy.

Walka o nasze prawa narodowe na Ślązku i sąsiednich pograniczach przybiera z każdym dniem coraz poważniejsze rozmiary. Z jednej strony fala germanizacyjna wnika w głąb kraju, z drugiej znowu walczą z polskością nasi pobratymcy — Czesi. Dotychczas bowiem lud ślązki miał najzaciętszych i nieprzejednanych wrogów w Niemcach, którzy od lat dziesiątek wytężają wszystkie swe siły, by go zniemczyć i coraz to nowych chwytają się ku temu środków. Był nawet czas, iż zda się ten lud ślązki pozornie zniemczały przepadnie dla naszego narodu.

Ale od niewielu lat i Czesi widocznie wziąwszy sobie za przykład hakatystów, rzucili się do dzieła wynaradawiania Polaków w Ks. Cieszyńskiem.

Niemcy, w których ręku spoczywają dziś rządy w kraju, krzywdzą nas na Ślązku, gdzie mogą ale i Czechom mamy bardzo wiele złego do zawdzięczenia zwłaszcza na pograniczu ślązko-morawskiem. A przyznać trzeba, że niebezpieczeństwo, grożące Polakom ślązkim ze strony Czechów jest równie niemałe a nawet groźniejsze jak ze strony niemieckiej, a to ze względu na blizkie pokrewieństwo języków polskiego i czeskiego. Nieuświadomieni bowiem Polacy przebywając wśród Czechów, łatwo przyswajają sobie ich język a przejąwszy się obcym duchem, stosunkowo prędko się wynaradawiają.

Cicho i podstępnie prowadzą Czeci swą pracę wynaradawiania, zakładając czeskie szkoły ludowe w gminach, w których Polacy nie mają jeszcze swych własnych, zaś tam wszędzie gdzie nie uzyskaliśmy dotychczas ani nie zdołaliśmy postawić o własnych siłach średnich szkół, budują czeskie gimnazya, szkoły realne, seminarya naucz. i szkoły przemysłowo-handlowe. A czynią to Czesi w przekonaniu, że wskutek tego upadną w miejscowościach takich wszystkie szkoły polskie ludowe i wydziałowe, tracąc na znaczeniu. Rodzice bowiem widząc, że ich dzieci nie mają po ukończeniu tych szkół, prawa wstępu do czeskich średnich zakładów, sami zaczną je posyłać do czeskich szkółek.

Najbardziej może krzywdzą nas Czesi na Ślązku w szkolnictwie, ale i wszędzie gdzieindziej gdzie dzięki podstępom uchwycili rządy i ugruntowali swe wpływy widać dążności czechizacyjne. Niemniej krzywdzą nas Czesi przy każdoczesnym spisie ludności, rozmyślnie wciągając Polaków do narodowości czeskiej. Także niesprawiedliwie postępują sobie Czesi z Polakami w instytucyach przez siebie rządzonych, po zakładach i fabrykach oraz w górnictwie, nieprzyjmując lub wydalając ze służby rodziców wzbraniających się posyłać swych dzieci do czeskich szkół. Toteż taki biedny ojciec lub matka w obawie utraty kawałka chleba i niechcąc zostawić dzieci bez wszelkiej nauki, posyłają je do takich szkół jakie są najbliżej, więc do czeskich. A następstwem tego jest wynaradawianie się naszej młodzieży, gdyż ta ucząc się i wychowując w obcym języku i duchu, po kilku lub kilkunastu latach traci poczucie łączności z własnym narodem i opuszcza mury szkolne jako dobrzy Czesi a często zaprzańcy i wrogowie swego narodu.

Sami zaś Czesi narzekają, że to im właśnie dzieje się krzywda i że ze strony Polaków grozi im niebezpieczeństwo wynarodowienia. Żądają więc od rządu założenia czeskich szkół

w takich gminach, gdzie niekiedy mieszka zaledwie kilkunastu Czechów (np. Polska Sutynia, Rychwałd, Szumberk) ba, w swych zapędach czechizacyjnych posuwają się nawet tak dalece, że upominają się o swe szkoły dla gmin czysto polskich. Zapominają jednak Czesi o tem, że Polacy w wielu gminach daremnie oczekują od wielu lat spełnienia swych słusznych żądań w dziedzinie szkolnictwa i że Polacy w swych gminach dla stosunkowo małej liczby ludności czeskiej pobudowali piękne szkoły. O tem wszystkiem nasi pobratymcy słyszeć i wiedzieć nie chcą. Twierdzą zaś Czesi, że Polacy krzywdzą ich w Księstwie Cieszyńskiem, ale są to udane żale niemające najmniejszej podstawy i najlepiej nas o tem przekonuje i poucza statystyka ludności i statystyka szkół obu narodowości na pograniczu. Oto pokazuje się, iż jedna czeska szkoła przypada na kilkudziesięciu mieszkańców, podczas gdy Polacy mają tam jednę szkołę i to o wiele gorzej uposażoną na kilka tysięcy swej ludności.

Tak więc Polacy na Śląsku zmuszeni są dzisiaj prowadzić na dwie strony wytężającą walkę obronną, mając przeciw sobie dwa wrogie i bogate Towarzystwa oświatowe: niemiecki „Schulverein“ i czeską „Matice skolska“ — dwa ludy oświecone i o wysokiej kulturze, przytem narodowo uświadomione.

Widać więc ze stosunków czesko-polskich, panujących obecnie na zachodnich kresach polskich, o co właściwie tam Czechom chodzi. Więc nie o zaspokojenie swych potrzeb narodowych, lecz o wynaradawianie Polaków i zasilanie nimi swych szeregów. *R. O.*

„Związek Polek“. Przed kilkoma dniami powstało stowarzyszenie Polek z inicyatywy p. Tarnawskiej. Na zebraniu konstytującem wybrano przewodniczącą p. Tarnawską, a do zarządu weszły pp. Taklińska, Wołodarczykówna, Palchowa, Kling, Żabianka i Przybylska. Celem Związku Polek jest w myśl statutu strzeżenie praw narodowości polskiej, czuwanie nad spełnianiem przez członków stowarzyszenia obowiązków narodowych, podnoszenie świadomości tych obowiązków, popieranie przemysłu i wyrobu krajowego, wspomaganie materyalne ubogich uczestników powstania z r. 1863, wdów i sierót po nich, dostarczanie pomocy kształcącym się dzieciom polskim, a szczególnie dzieciom i wnukom powstańców i dostarczanie pracy. Członkiem Związku może być każda Polka. Wkładka wynosi 10 hal. miesięcznie. Dotąd, oprócz kilkudziesięciu pań z miasta, przystąpiło 57 włościanek z okolicznych wiosek.

Dar grunwaldzki. Niemiec Piotr Rosegger wydał do Niemców odezwę, ażeby bogatsi niemcy złożyli się po 2000 K. na szkoły kresowe tj. na szkoły niemieckie dla germanizowania dzieci polskich na Śląsku i dzieci czeskich w Czechach. Polacy galicyjscy wykorzystali tę odezwę dla siebie i pisma polskie wydały odezwę do społeczeństwa polskiego, by Polacy składali takie same sumy na polskie szkoły kresowe. Wątpliwości nie ulega, że znajdzie się 2000 Polaków, którzy złożą po 2000 K. — zbierze się milion koron w myśl niemieckiej odezwy na polskie szkoły. Składki płyną obficie, zebrano w Galicyi przeszło 500.000 K. „Macierz szkolna“ na Śląsku zbiera sumę 100.000 K.

Dar grunwaldzki. Od Henryka Sienkiewicza otrzymała „Nowa Reforma“ następujące pismo:

Szanowny Panie Redaktorze!

Podczas pobytu mego w Szwajcaryi wyczytałem w „Głosie Warszawskim“, iż „Nowa Reforma“ popiera nadzwyczaj gorąco sprawę zebrania miliona koron na szkoły kresowe, z tego więc powodu zwracam się do waszej Redakcyi z następującem oświadczeniem:

Uznając, że walka nie na armaty i bagnety, ale na szkoły jest najszlachetniejszą i jedyną walką, jaką nasz naród podjąć może, ofiaruję na ten cel tysiąc koron, w ten sposób, że w pięciu latach przeznaczonych na zebranie miliona, będę składał w krakowskiej Kasie Oszczędności za waszem pośrednictwem po

dwieście koron rocznie na rachunek komitetu, który zajmuje się zbieraniem podpisów.

Ofiarę tę składam jednak bezwarunkowo, to jest bez względu na to, czy w ciągu powyżej wymienionych lat zbierze się, lub nie zbierze, milion koron.

Sądzę bowiem, że pół, a nawet ćwierć miliona może mieć wielkie znaczenie w obronie od wynarodowienia naszych przyszłych pokoleń — i że gdy nie można założyć dziesięciu szkół, to lepiej jest założyć pięć, trzy, a nawet jednę, niż nie założyć żadnej.

Ufam jednak, że podpisów na milion się znajdzie, a jestem głęboko przekonany, że suma ta zostanie conajmniej zdwojoną, jeśli większe przyobiecane kwoty zostaną poparte przez drobne składki patryotów, którym przyszłość narodu leży na sercu.

W tej myśli dla otwarcia rubryki i drobnych ofiar, składam również w waszej Redakcyi 10 K.

Z wysokiem poważaniem

Henryk Sienkiewicz.



DZIAŁ GOSPODARCZY.

Po maju miesiąc najpiękniejszy, to czerwiec bo rolnik widzi, jak jego praca urasta i dojrzewa w plon, który jego i drugich żywi. Zatem czerwiec zajmują przedewszystkiem przygotowania do żniw; to rzecz najważniejsza, ale nie jedyna. Trzeba jeszcze skończyć wywożenie i zaorywanie gruntu na ugorach, siew mieszanki, trzeba okopywać buraki, kapustę i ziemniaki a z końcem miesiąca, skoro tylko koniczyna zakwitnie, zaczynać sianokosy. Jeżeli przy tem znajdzie się chwasty, a zwłaszcza kaniankę, to natychmiast je niszczyć! Pamiętać — jak zawsze — o oborze i bydle. Zwłaszcza młode cielęta i źrebięta, które się teraz zaczyna odłączać, potrzebują szczególnego starania i opieki; nie trzymać ich w stajni, ale na zagrodzie, dla powietrza i ruchu. Pilnować porządku w oborze, dobrze ją przewietrzać i niszczyć wszelkimi sposobami muchy, które roznoszą tylko choroby i zarazy bydlęce. Nie paść na moczarach, bo to najłatwiejszy sposób uchronienia bydła od zamotyliczenia. Owce wypędzać na pastwisko, byle nie zbyt wczesnym rankiem, bo po rosie łatwo o wzdęcie, któremu uledz może łatwo całe stadko. W sadzie pamiętać o młodych drzewkach, podlewać je starannie podczas posuchy, oczyszczać z gąsienic a kwiat nawet na jedno- i dwurocznych obrywać. Z drzew starszych, jeżeli za obficie zrodzą, strząsać tyczkami i obrywać owoce. Podpierać tyczkami gałęzie, uginające się pod ciężarem owocu. W pasiece miesiąc rójki. Pszczołom nie brak przedniego pożywienia na kwiatach polnych i ogrodowych, a szczególnie na kwiecie białej akacyi.

Dlaczego rozpoczynamy obiad od zupy. Wiele osób twierdzi, że rozpoczęcie obiadu od rosołu lub zupy, nie jest niczem innem jak tylko przyjętym i ustalonym zwyczajem. Są i tacy, którzy twierdzą, że nie jest korzystnie rozpoczynać obiad od zupy, ze względu, że obfitość płynu, zbytecznie rozrzedza soki żołądkowe, co szkodzi trawieniu i utrudnia go.

Doświadczenia jednak przekonały, że zupa nie robi żadnej ujmy sokom żołądkowym, które zebrane w komórkach, przeznaczone są od natury jako pomoc do trawienia. Zwyczaj więc rozpoczynania obiadu od zupy, ugruntowany jest na logicznej podstawie, bo posilny ten pokarm w rozrzedzonej formie podany, łączy się natychmiast z krwią i prędko głód zaspokaja, bez raptownego obciążania żołądka, nawet po dłuższej powściągliwości.

Po spożyciu talerza ciepłej zupy głód zaspakaja się, wycieńczenie znika i ustępuje miejsca pewnemu fizycznemu zadowoleniu, które to jest najlepszym dowodem skuteczności tego głównego wstępnego pokarmu.

Niektóre osoby czując głód a ztąd brak sił, mają zwyczaj przed spożyciem obiadu wypić kieliszek wódki lub coś podobnego,

czem właśnie psują żołądek i przeszkadzają trawieniu.

Zupa zaś przeciwnie, przygotowuje ona korzystnie do przyjęcia cięższych pokarmów, przyspiesza trawienie i wzmacnia żołądek. Wielki wpływ na trawienie wywiera nie tylko rodzaj pożywienia ale i pora roku, nie powinno się jedne i tesame pokarmy jadać w lecie i w zimie, gdyż sama natura tego nie znosi. Nie jedną rzecz w zimie jemy tak chętnie a w lecie patrzeć na nią nie możemy, ponieważ latem z powodu ciepła organa nasze nie wymagają tak wielkiej ilości pokarmu jak w zimie, gdyż w zimie, znaczna część pokarmu zużyta bywa na wytworzenie ciepła, najwięcej ciepła wytwarzają pokarmy tłuste. W lecie tłuszcz jest zbytecznym, to też sama natura nie tylko go nie żąda, ale poniekąd nie znosi. Główną zasadą letniego pożywienia powinna być prostota tak w pokarmach jak i w przyrządzaniu ich, a przedewszystkiem regularność w pożywieniu, czyli przyjmowanie pokarmów w należytych odstępach. Nie powinno się częściej pokarmów przyjmować jak co 4 lub 5 godzin i to, śniadanie, następnie obiad, który powinien stanowić główną podstawę całoziennego pożywienia, a więc powinien być posilny, i na tyle dostatecznym, aby sobie dobrze pojeść można; następnie podwieczorek i około 7—8 nigdy później wieczerza. Wieczerza powinna się składać z potraw lekko strawnych jak, zupa jakaś, kaszka na mleku, ziemiaki z kwaśnem mlekiem, herbata i chleb z masłem i t. p. Wieczerza powinna być dosyć wcześnie gdyż ruch po wieczerza jest koniecznym. Nie należy nigdy późnym wieczorem żołądka przeładowywać, a zwłaszcza potrawami ciężko strawnemi. Taka wieczerza późnym wieczorem jak i nieregularne przyjmowanie pokarmów doprowadza do niestrawności. Również należy unikać w lecie jedzenia większej ilości mięsa, zwłaszcza mięsa tłustego jak wieprzowiny również i jaj jak wogóle potraw ciężko strawnych, gdyż zamulają one żołądek i powodują najrozmaitsze cierpienia żołądkowe.

Najzdrowszym pokarmem w lecie jest mleko tak słodkie jak i kwaśne i wszelkie pokarmy roślinne, jak -jarzyny, sałaty, jagody i owoce.

Sałaty jako dodatki do niewielkiej ilości mięsa pobudzają znacznie apetyt, zwłaszcza jeżeli są przyprawione nie octem ale kwaśną śmietaną lub sokiem cytryny. Zaś co do mięsa to najzdrowszym jest w lecie drób, cielęcina, wołowe gotowane, lub mięso królicze, wieprzowina nie ma smaku w lecie, jedynie tylko chuda szynka. W lecie należy również wystrzegać się potraw silnych i zaprawionych ostrymi korzeniami, bo tak jedno jak i drugie pobudza pragnienie. To samo można by powiedzieć i o potrawach zbyt słodkich ale już w mniejszym stopniu.

Najwięcej polecenia godną jest w lecie kuchnia zimna, a przynajmniej kuchnia jarska t. j. opierająca się przeważnie na mleku, jarzynach, owocach i legominach z jaj.

Do picia najlepszą jest w lecie czysta woda źródlana nie bardzo zimna i nie powinno się też pić nigdy dużo odrazu, lepiej pić często a po trochu.

Bardzo dobrym napojem w lecie jest lemoniada z cytryny, soki z jagód, napoje owocowe i kwasy owocowe, otrzymane przez fermentacye owoców. Kwas z mąki pszennej i żytniej, kwas z buraków, kwas z chleba itp.

L. Hałacińska.



Dobra rada dla gospodyń.

(Ciąg dalszy).

Zabicie i parzenie wieprzka.

Wieprza trzeba zabijać raniutko — wcześnie — aby można w jednym dniu wszystko porobić i uprzątnąć. Trzeba więc wstać do dnia — napalić dobrze pod blachą — nastawić, jakie tylko macie większe baniaki lub garnki wodą — aby kipiała — bo trzeba wieprzka po zabiciu parzyć. Koryto do pa-

rzenia zwykle mają gospodarze u siebie. Gdy niema koryta w domu — trzeba się o nie dzień przedtem postarać — bo wszystko musi być pod ręką. Gdy się wieprza zabija, musi być ktoś w chlewku z garnkiem i kołotewką, aby łapać krew z niego. Krew tę trzeba potem trochę posolić i rozbijać kołotewką parę minut, aby się nie zsiadła.

Parzyć wieprzka trzeba uważnie, aby brzucha nie przeparzyć, gdyż później jelita czyli kiszki byłyby bardzo słabe. Miejsce odchodowe trzeba obkroić ostrożnie, aby kiszki nie przeciąć i związać mocno sznurkiem.

Gdy już wieprzek czysto oparzony i oskrobany z sierści, trzeba go powiesić u powały w ten sposób, że się w tylne nogi, w kolanka wkłada orczyk, zakłada powróz na orczyk i za belkę u powały i ciągnie się go do góry. Gdy już wieprz wisi umocowany dobrze — ale jeszcze jest w całości, trzeba wziąć do miski albo szafliczka czystego letniej wody i czystą szmatką, maczaną w tej wodzie umyć go całego od góry do dołu. — Po tem wszystkiem można się już brać do głównej roboty. A więc ucina się naprzód łeb świni. Gdy się odcina, trzeba podstawić jakie czyste naczynie, gdyż krew jeszcze z niego pójdzie i trzeba ją złapać, aby się nie zmarnowała, bo z krwi jest bardzo dobra potrawa, jeśli się ją dobrze przyrządzi. Położywszy łeb na jakim stołku czystym — albo w jakie naczynie — ciąć wieprza dalej, a mianowicie: trzeba rozciąć brzuch i wydobyć kiszki.

Jadwiga Szegdziańska.

(C. d. n.



Rdzawe plamy które się tak często zdarzają na perkalowych i batystowych sukienkach wywabiają się doskonale sokiem cytryny. Plamę rdzawą potrzeć sokiem cytryny i przycisnąć końcem gorącego żelazka od prasowania, znowu potrzeć i znowu przyprasować i tak długo to powtarzać aż plama zniknie, następnie przetrzyć to miejsce szmateczką umaczaną w wodzie z mydłem i wysuszyć. Tak samo wywiabia się plamy z atramentu.

Zbutwiałe plamy w bieliźnie. Jeżeli jaki kawałek bielizny ma plamy zbutwiałe (spleśniałe) to rozciąga się go na desce i pociera się następującym rozczynem. 15 gram. sproszkowanego salmiaku i 60 gr. zwykłej soli kuchennej rozpuszcza się w jednym litrze wody. Tym rozczynem pociera się zbutwiałe plamy kilka razy tak, aby dobrze przesiąkły a następnie się suszy. Gdy wyschnie, powtarza się znowu nacieranie i to tak długo aż plamy znikną. Później płucze się kilka razy dobrze w letniej czystej wodzie.

Plamy z oliwy w świeżo szytej bieliźnie, sukniach, lub jedwabiach. Eter który czyści wszelkie plamy tłuste- służy w tym wypadku znakomicie, nie niszcząc wcale koloru ani materyi (niektóre jednak kolory wprawdzie bardzo rzadko ale się zdarza, że niektóre kolory ulegają małej zmianie). Polewa się kilka kropel eteru na plamkę i pociera lekko najlepiej taką samą materyjką, aż plama zniknie. Robiąc z eterem trzeba bardzo uważać aby nie robić blisko palącej się lampy lub gorącego pięca i by flaszeczka z eterem nie stała w słońcu gdyż eter jest bardzo łatwo zapalny i można się bardzo poparzyć.

Kora kwilai. Wszelkie materye wełniane, niepewne kolorowe batysty, perkale, barchany, i t. p. jedwabne materyjki i koronki, piorą się najładniej w rozgotowanej korze kwilai, jeżeli się pierze koronki lub wstążki dobrze jest dodać odrobinę spirytusu do wody kwilai.

Wszelkie ceraty linoleum myte odwarem kwilai wyglądają jak nowe. Tak samo wszelkie meble polityrowane lub malowane olejno odświerzają się bardzo ładnie przechłodniętym (letnim) odwarem kwilai, następnie muszą być do sucha wytarte suknem lub miękką ściereczką.



ROZMAITOŚCI.

Wiadomo jak znaczne zyski przynosi uprawa i handel jarzynami. Dziś praca ta jest w dość wielkiem u nas zaniedbaniu. Po wsiach hodują warzywa prawie wyłącznie dla własnego użytku, a na większą skalę zajmujących się tem ogrodników widzimy tylko pod wielkiemi miastami. Za to małe miasteczka są pod tym względem upośledzone. Tu na gruntach uprawnych rolnicy i właściciele przedmiejscy za mało ziemi przeznaczają pod jarzyny, nie mając jakoś przekonania do tej tak sowicie opłacającej się gałęzi gospodarstwa. Kultura ogrodowa, do tego stopnia jest u nas zaniedbana, że w wielu miasteczkach wprost nie ujrzy się na targach katolików, kupczących jarzynami; bo handel ten przeszedł w ręce żydów-pośredników. Ci sprowadzają warzywa z większych miast i każą sobie za nie drogo płacić. A czy zawsze dostanie się ich w większym wyborze? To też, o ile można sądzić, zapotrzebowanie jarzyn wzrosłoby niewątpliwie, gdyby one były tylko przez naszych rolników w większej jak dotychczas ilości hodowane. A ludność miejska chętnie spożywa jarzyny, czasem nawet w znacznej ilości i łatwo się do tych artykułów żywności przyzwyczaja.

Podobnie ma się sprawa handlu grzybami i surowymi owocami leśnymi jak poziomkami, malinami, borówkami, jerzynami i orzechami, które żydzi bardzo często wykupują w wielkiej ilości po wsiach za tanie pieniądze i odstawiają do miast, co im się wcale dobrze opłaca. A byłoby to z wielką dla naszych gospodyń korzyścią, gdyby wzorem żydów zechciały albo same, albo też wspólnie zająć się zbieraniem i sprzedażą tych produktów leśnych na większą skalę z odstawą wprost do miast. *R. O.*

Siostry szkolne. Według najnowszych rozporządzeń w szkolnictwie w Prusach, ustanowiono w tem państwie dla szkół posady tak zw. sióstr szkolnych, których zadaniem ma być opieka nad dziećmi w szkole i poza szkołą co do stanu ich zdrowia i hygieny. A więc odwiedzanie dziatwy także i w domu rodzicielskim, dalej pouczanie rodziców o czystości dzieci, ich odzieży i przyborach, jakoteż pielęgnacyi ich i loczeniu. Co pewien zaś czas będą takie siostry obowiązkowo przedstawiały dzieci szkolne lekarzom do oględzin.

X. X.



Łamigłówka literowa.

Uł. R. 6.

a h m o r
a a i r t
a a r t w
a ą j k p
a c h s z
a j k o t
a o ł t z
a a d n w
c k ł o p
a o t p z
a a d j n
c i n z z
a c h l o
a k n o r
a a a g w

W piętnastu powyższych wyrazach tak poprzestawiać głoski aby litery środkowe dały imię i nazwisko znanej, żyjącej obecnie polskiej poetki.

Znaczenie wyrazów:

1. Rak morski.
2. Korona papieska.
3. Rzeka w Poznańskiem.
4. Świecznik wieloramienny.
5. Nazwa władcy Persyi.
6. Sławne wino węgierskie.
7. Metal.

8. Bajeczna księżniczka polska.
9. Miasto w Królestwie Polskiem.
10. Drogi kamień.
11. Państwo w Europie.
12. Święty ogień pogańskich Litwinów.
13. Drzewo.
14. Burza w nadmorskich krajach.
15. Roślina podzwrotnikowa.

Łamigłówka krzyżowa.

Uł. L. 6.

		○	○	○	○		
		○	○	○	○		
○	○	○	○	○	○	○	○
○	○	○	○	○	○	○	○
○	○	○	○	○	○	○	○
○	○	○	○	○	○	○	○
		○	○	○	○		
		○	○	○	○		

Ułożyć cztery wyrazy tak, aby czytane na krzyż miały następujące znaczenie:

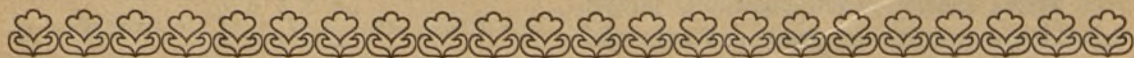
1. Rodzaj jaszczurki, zmieniającej barwę skóry.
2. Modlitewnik duchownych.
3. Imię żeńskie.
4. Roślina wazonowa.

Rozwiązanie logogryfu z Nr. 5.

O	gniw	**O**
G	awe	**Ł**
N	er	**O**
I	nwi	**D**
E	umenid	**Y**
M	acie	**J**
I	ndyg	**O**
M	odrze	**W**
I	bi	**S**
E	wangeli	**K**
C	zerkies	**I**
Z	eu	**S**
E	skimos	**I**
M	iramar	**E**
P	anteo	**N**
O	pty	**K**
T	arnowsk	**I**
O	pol	**E**
P	iotrkó	**W**
P	apuas	**I**
A	nczy	**C**
N	arcy	**Z**
W	isł	**A**

Ogniem i Mieczem, Potop, Pan Wołodyjowski Sienkiewicza.

Pierwsza rozwiązanie łamigłówki przesłała p. Berta Bedura, a drugą p. J. Helenburg.



PYTANIA I ODPOWIEDZI.

W odpowiedzi na szanowne pismo Pani M. S. podamy sposoby: konserwowania jagód owoców i jarzyn, bo jest to rzeczywiście wielka wygoda dla gospodyni jeżeli w czasie zimy ma coś z tych, że tak, powiem koniecznych zapasów. Nie mówię już o rzeczach droższych jak kompoty, konfitury, owoce suszone w cukrze. Bo są to rzeczy na które nie każdą gospodynię stać i nienadające się w każdym domu, są jednak rzeczy tańsze a te to już każda nawet przy najskromniejszym dochodzie mieć może i nietylko że mieć może, ale mieć powinna. Są to owoce i jagody suszone, tak często używane nawet jako lekarstwo w czasie dezenteryi, czerwonki, i. p. t. jak to pisaliśmy w roku ubiegłym w artykule pod tytułem, „Zwyczajne przyczyny chorób ludu wiejskiego“. Również i powidła, masy owocowe i nalewki owocowe powinny być wszędzie. Jeżeli jednak która gospodyni uważa że są to rzeczy dla niej zbyteczne lub za kosztowne, lub zawiele zachodu około tego, to chyba co do suszenia jarzyn żadna mi nie zaprzeczy, że jest to rzeczą bardzo praktyczną, wymagającą mało zachodu, nie narażającą na zniszczenie i potrzebującą mało miejsca, nadającą się w każdym domu, a zwłaszcza dla gospodyń na mniejszych gospodarstwach, jak p.p. nauczycielki, gospodynie w miastach i miasteczkach, gdzie o jarzyny trudno a piwnice są liche ciemne i wilgotne, a wiadomą

jest rzeczą, że w takich piwnicach jarzyny przez zimę przechować jest trudno, lub jeżeli wcale piwnicy niema. Jest wielką wygodą jeżeli w kilku płóciennych woreczkach powieszonych na ścianie można sobie pomieścić całę piwniczkę, i nie potrzeba myśleć o tem jak też to ta pietruszka czy kalarepa wygląda w piwnicy, czy też bardzo gnije. Prócz tego jest jeszcze to, że jarzyny suszy się w czasie kiedy są one w najlepszych sokach, kiedy są jeszcze młode, tj. czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień, naturalnie, że każde w swoim czasie, są one w tych miesiącach najtańsze, zawierają największą ilość cukru i wszelkich innych pożywnych soli, a tkanki ich są młode miękkie i delikatne. W zimie zaś są jarzyny już całkiem dojrzałe, a tkanki są twardsze i im bliżej wiosny tem są jarzyny twardsze tak, że niektóre mają tkanki formalnie zdrzewiałe a soków pożywczych brak im prawie zupełnie. Radzę więc każdej gospodyni, aby spróbowała, choć raz jedyny chociażby w tym tylko roku, ot teraz prawie najlepsza pora; mamy już groszek zielony, zielony koperek do barszczu, w lipcu będzie marchewka, kalarepa i tak dalej co miesiąc coś. Zwracam tu uwagę gospodyń, że jarzyny suszone jeżeli mają odpowiadać celowi, muszą być tak suszone, aby zachowały swój właściwy kolor tj. groszek powinien być zielonkawy, fasola silnie zielona, szparagowa fasolka żółtawa, marchewka czerwona, kalarepa biała, pietruszka żółtawa, nać pietruszki zielona, koperek zielony, znakomita rzecz do barszczu ale na sos się nienadaje, natomiast znakomitą rzeczą na sos zimowy jest głóg suszony, o którym to w swoim czasie będzie mowa. Dzisiaj już prawie wszędzie można kupić suszone jarzyny, ale dlaczego płacić drogo, jeżeli za niskę cenę można zupełnie to samo mieć w domu, trzeba tylko poświęcić trochę czasu na to, a ręczę, że która gospodyni tylko raz spróbuje, to pewnie już tego nie zaniecha.

Suszony groszek, lub młody bób. Tak groszek jak i bób obrać z łupinki czyli wyłuszczyć i suszyć w piecu na brytfannie, uważając, aby się nie przypalił, ale jak to powyżej mówiłam, aby zachował kolor naturalny, trzeba go więc częściej mieszać i uważać, aby nie wstawiać w zbyt gorący piec. Po ususzeniu wychłodzić i dopiero wsypać do płóciennego woreczka i powiesić w miejscu suchem.

Suszenie owoców. W latach urodzajnych, większa część owoców byłaby zmarnowaną, gdyby nie zostały ususzone, co kosztuje bardzo mało pracy, kosztów nie ma prawie żadnych a zapas taki przyda się bardzo w zimie. W czerwcu mamy wiśnie i czereśnie, suszy się je zupełnie tak jak śliwki, ale ponieważ owoc jak bardzo mały i soczysty to piec nie powinien być bardzo gorący i wstawia się je tylko raz do pieca a doreszty dosuszać na słońcu.

Agrest suszony. Dojrzały agrest czerwony obrać z sypułek i suszyć na blachach w letnim piecu; na zupy i sosy.

Konfitury. Konfitury można robić ze wszystkich prawie owoców, są one tak przez dzieci jak i przez osoby dorosłe bardzo lubiane, są pożywne i zdrowe dla żołądka. Konfitury mają tę zaletę, że przechowują się doskonale byle tylko postawić je w chłodnem i sychem miejscu. Robota ich jest bardzo łatwa i byle była dokładnie zastosowana do przepisu to udać się musi. Złem wyrachowaniem jest oszczędność na cukrze, stosunek cukru musi być taki jakiego potrzebuje owoc do swej trwałości. Jeżeli się oszczędza cukru, natenczas gotowanie musi trwać dłużej. Konfitura traci swój piękny kolor, owoc nabiera nieprzyjemnego gotowanego smaku i traci zapach.

Również nie dobrem jest używanie cukru tańszego, a tem samem gorszego gatunku, nadaje on konfiturze smak melasy, strata w szumowinach jest znaczna a przytem konfitura nie jest tak przeźroczystą i nie krystalizuje tak ładnie jak na cukrze rafinowanym. Bardzo ważną czynnością jest owiązywanie słoi. Słój powinien być tak szczelnie, tak silnie wiązany, aby powietrze nie miało żadnego przystępu do środka.

W dziewięć dni po napełnieniu słoików należy je przykryć, wyciąć krążek z białego papieru wielkości obwodu słoika tak aby papier nie zachodził na boki słoika, umaczać go w wodzie a jeszcze lepiej w rumie i położyć na konfiturze. Po upływie godziny od położenia papieru nakrywa się słoik papierem pergaminowym umaczanym w rozczynie gumy arabskiej i owiązuje się gęsto i mocno kilkanaście razy cienkim szpagatem. Na każden słoik nalepia się karteczkę z napisem rodzaju konfitury i rok w którym była robiona.

Róża w cukrze. Na $^1/_2$ funta oczyszczonych listków róży, (oczyszonych listków róży, to znaczy, że wszelkie żółte koniuszki u listków muszą być ostrzygnięte, gdyż nadają one konfiturze nieprzyjemną gorycz) bierze się $1^1/_2$ funta cukru i tłucze się razem w moździerzu, wykłada się do garnka kamiennego lub wazy, zakrapia sokiem jednej cytryny i nakrywa, tak może postać parę godzin aż ładnie zczerwienieje, następnie daje się do rynki i smarzy na wolnym ogniu nie mieszając wcale łyżką, tylko potrącając rynką. (Rynka w której się smarzą konfitury musi za każdym razem być czyściutko wyszurowana i do niczego innego używaną być nie może). Z tej masy można także robić gałeczki, utarzać w miałkim cukrze a jeszcze lepiej w grysiku krystalicznym, a gdy obeschną układać w słój. W ten sam sposób robi się sucha konfitura z fiołków. *L. H.*

Konfitura z agrestu. Liście dębowe świeże nalać dobrą, czystą wódką i pod szczelnem przykryciem gotować dosyć długo, aby wódka nabrała zielonego koloru. W wódce tej, zcedzonej z liści, ugotować niezbyt miękko wydrążony agrest, poczem wyjąć i osączyć na sicie do wystudzenia. Zrobić gęsty syrop, biorąc na 2 funty cukru trzy czwarte szklanki wody, wyszumować starannie i dopiero złożyć weń agrest, który na wolnym ogniu smażyć się powinien około kwadransa. Wystudzony składać w słoiki.

Zwracam uwagę, że agrest na konfiturę musi być użyty w drugiej połowie czerwca, aby był zupełnie jeszcze zielony, miał niewykształcone ziarnka, a łupinkę mięsistą; inaczej, po usmażeniu będzie twardy i łykowaty.

Sok z porzeczek. Porzeczki, oczyszczone z korzonków, opłókać i, napełniwszy niemi nowy gliniany garnek, zalać pod wierzch zimną wodą i wstawić na całą noc w piec po chlebie. Nazajutrz wylać wszystko w worek flanelowy i niech ścieka choćby kilka godzin, nic workiem nie poruszając. Na kwartę płynu brać półtora funta cukru, gotować i szumować, dopóki się sok zupełnie nie wyklaruje. Zimny, zlać w butelki, zakorkować i zalać pechem.

O kompocie z agrestu. Dopóki agrest mamy jeszcze niezupełnie dostały, przypominam gosposiom, a zarazem amatorkom kompotu z tego owocu, aby z niewielkim zachodem przygotowały sobie pewien zapas na zimę. A przyrządzać go należy w ten sposób. Agrest oczyścić z korzonków i rozłożyć go na stole pokrytym płótnem, poczem osłonić drugiem płótnem i lekko wycierać, potaczając rękami z miejsca na miejsce agrest. Oczyszczonym napełnić butelki czyste i suche nakładając po same szyjki, obwiązać mocno pęcherzem i gotować z butelkami w kociołku z wodą dopóty, dopóki agrest nie zżółknie. Po ostudzeniu wody w kociołku dopiero można butelki wyjmować, obetrzeć je i ustawić w przewiewnem i chłodnem miejscu. W ten sam sposób urządzać można wiśnie czarne i jagody, które zatrzymują smak świeżego owocu.

Kapelusze zwykłe słomiane wyrabiają w Morawicy. Nowy zaś wyrób kapeluszy z Basty wyrabiają dzieci w Bobrku koło Oświęcima u ks. Ogińskiej.

Wzory haftów, robót szydełkowych, oraz miarę i krój przesyłamy tylko tym czytelnikom, którzy nadesłali należną prenumeratę, każdy kto uiści należytość może te wzory otrzymać i następne. Prosimy bardzo o jednanie prenumeratorek i prenumeratorów oraz nadsyłanie zaległej należytości za pobieraną gazetkę „Przodownicę“.

Administracya.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. – Druk A. Rippera, Kraków.



DODATEK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY
DO NR. 6 „PRZODOWNICY“ ZA CZERWIEC 1909 ROKU.

Z SERCA DO SERCA!

Ciąg dalszy.

Mieć swój kąt własny, być swoim panem na własnych śmieciach, to jest wielką łaską Bożą; czy jednak ludzie rozumieją wielkość tego dobrodziejstwa losu? Czy się zastanawiają nad tem kiedy, że nad tem dziedzictwem swojem czuwać powinni troskliwie, że kobiety powinny ten skrawek ziemi pracą i trudem upiększać, kochać serdecznie całą duszą i tak ten kąt ozdobić i umilić, aby on się stał dla obojga i dla ich dzieci ukochanem miejscem, aby był dla sąsiadów nie powodem głupich sporów codziennych o szkodę przez kurę lub prosię wyrządzoną, ale aby otwierał gościnnie swoje skromne podwoje i aby jedni u drugich mogli w każdej chwili znaleźć radę, pociechę i współczucie w smutku lub niedoli.

Spróbuję przedstawić Wam czytelniczki moje obraz domku takiego, jaki niedawno miałam sposobność obejrzeć, spróbuję także poradzić, jakby taki domek mógł wyglądać, gdyby właścicielka jego okazała trochę dobrej woli.

Wypadło mi u siebie w domu robić jakieś odnowienia i poprawki, a że do tej roboty potrzebowałam murarza, pojechałam do miasteczka rozejrzeć się za jakim. Znałam tam kilku, najbardziej jednak z roboty podobał mi się jeden z nich, człowiek w sile wieku, cichy, pracowity, o którym się dowiedziałam, że jest w danej chwili w domu, gdyż tego roku wczesną jesienią wrócił z roboty z Warszawy. Podjechałam przed dom jego i odrazu uderzyło mnie wiele rzeczy, które postaram się Wam opisać, czy się komu to podobać będzie.

Domek był wcale pokaźny — cóż — kiedy zewnątrz odrapany, nie odświeżony, w oknach brakowały dwch szyb i zatkane były jedno jakąś spódnicą, drugie poduszką. W ogródku — dość to było wczesną jesienią i mogły w nim rosnąć jeszcze różne, tak nam wszystkim dobrze znane od dzieciństwa i tak miłe kwiatki jesienne — było pusto i nieporządnie.

Jakiś nędzny krzak malwy różowej wygięty jakby z tęsknotą poza płotek sztachetkowy — przez pół wyłamany, świecił kilkoma nędznymi kwiatkami. Zresztą, na pół susche badyle zielska — trochę śmiecia i kilka kur w niem grzebiących.

Od razu to mnie usposobiło smutno i nieprzychylnie dla gospodyni tego domu. Weszłam na ganek. Ganeczek, jakich tysiąe rozsianych po naszych małych miasteczkach — taki nam znany, taki ulubiony — z dwoma ławeczkami, obsadzony fasolką lub powojem

Czy myślicie, że i ten był taki? Były tam wprawdzie ławeczki, lecz tak brudne i tak zdradzające, że kury w nocy miały na nich swoje przytulisko, że aż niemiło było patrzeć na nie; oprócz tego były tam jakieś brudne cebrzyczki, a jak na śmiech — stał z boku, w kuble drewnianym, suchy, krzywy — umierający oleander. Idę do sieni! Toż samo

wszędzie! Brudno — nieporządnie — zapchane przedmiotami, które się tam w żadnym razie znajdować nie powinny. Otwieram drzwi do pokoju — a cóż to mi nagle zasłoniło wejście?! Oczom nie wierzę! Wszak to portyera zawieszona u drzwi wchodowych! Zasłona, którą gdy z bliska obejrzałam, miałam ochotę zedrzeć z tych biednych, brudnych, skrzywionych przez lata drzwi skromnego mieszkania domku. W izbie nie było nikogo — miałam więc czas rozejrzeć się po niej. Była ona dość obszerną, nieporządek jednak był tak w niej widoczny i tak wielki, że wszystko aż biło w oczy. Przy oknach brudnych i przez muchy zapstrzonych wisiały także jakby na pośmiewisko zasłony muszlinowe male jakie! Zaprószone (nie prane Bóg wie od kiedy) przystrojone kwiatkami robionymi z bibułki — a wszystko pokryte pyłem, muchami i pajęczyną snującą się wszędzie, gdzie tylko oko spocząć chciało. Podłoga brudna, raziła bardzo; na ścianach wisiały dwa obrazy — za które gospodarstwo dali z pewnością ze 20 koron, a może i więcej i wyobrażali sobie, że mają coś ładnego!

A to było poprostu szkaradne. W olbrzymich obrazach były przedstawione dwie piękności kobiece: brunetka i blondynka — obie bezmyślnie uśmiechnięte — tęgie. czerwone i świecące zdaleka lakierem jakim były obrazy powleczone. Jaskrawe, szerokie złote ramy dużo już przez pracę much straciły na blasku — tak samo wyglądało dość duże, krzywo powieszone lustro — a skromny obrazek Matki Boskiej, zawieszony nad łożem małżeńskiem i ubrany kwiatkami robionymi — tak już był stary i zczerniały, że na nim już brudu nie znać było. Brała tylko ochota zdjąć te brudne kwiatki, zaprószone i popstrzone — podczas gdy na świecie tyle kwiatów jeszcze kwitło — a w ogródku gospodyni mogły róść roślinki na ozdobę Matki i Opiekunki naszej!

Były w tej izbie jeszcze jakieś szafy i sofa i stolik, był nawet dywanik na ścianie — dywanik z lwem nastroszonym — wytrzeszczającym oczy, jakby się dziwił temu co tu widzi; było niejedno — ale ze względu na zaniedbanie, jakiemu wszystko ulegało — lepiejby było, aby tego wszystkiego nie było w pokoju. Przynajmniej proch i muchy i pająki nie miałyby na czem i gdzie rozpościerać swego panowania. Drugie drzwi z pokoju — już bez zasłony — wiodły do drugiej izby czy kuchni, ale co za nimi było, nie wiem, bo były na szczęście zamknięte.

Po niejakiej chwili weszła do pokoju kobieta — gospodyni tego domu. Wyobrażałem sobie, że skoro tu tak strasznie ładu niema, musi być gospodyni bardzo chorowitą, albo zgoła chorą osobą. Lecz tak nie było! Kobieta, która weszła do pokoju, miała najwyżej lat trzydzieści. Biała i rumiana — tęga w miarę, o jasnych włosach i błękitnych jak kwiat lnu oczach — z rumianemi ustami i zdrowymi, białymi zębami — wyglądała i zdrowo i ładnie. Wróciła widocznie z miasta, gdyż spódnicę miała ciemną — modnie zrobioną — stanik także na niej nie brzydki, lecz cóż! Na niej to jakby było wypisane przysłowie: „Jaki pan, taki kram jego bywa“. U stanika brakowało parę guzików — zastępowały je niedbale wpięte szpilki, a u szyi broszka; pasek otaczał wprawdzie figurę, ale dokoła wyłaziła koszula, bo spódnica była nieporządnie złożona. A sama spódnica! Widać było, że nie stara — i że ją krawiec robił — ale u dołu — — pożal się Boże! Już i pisać o tem nie będę! Kobieta zobaczywszy mnie, zrzuciła prędko z siebie chustkę, a gdym się zapytała o męża jej, chmura zasłoniła jej ładne jasne oczy. „Niema go, proszę pani, ale ja go mogę zaraz przywołać“. Godzina była może czwarta po południu — dzień cudny, wczesnej pogodnej jesieni — słoneczka tyle na świecie, aż się dusza radowała, a ten człowiek już był w szynku — bo przecież domyśliłam się tego odrazu. Ale, co on miał robić w tem smutnem, brudnem zaniedbanem mieszkaniu?! On je miał jedynie tylko za miejsce gdzie się przespać i najeść można — ale żeby

on tu miał jaką przyjemność, radość — skądże? Czy mógł odpocząć na ganeczku, gdzie kury miały swoje panowanie — czy może w izbie, gdzie muchy oczy wyjadały? Mógłby się wprawdzie zająć robieniem porządków koło domu. Myślał on leniwie o wybieleniu go wewnątrz i zewnątrz — myślał czasem o naprawie płotku dokoła — ale czy mu się to chciało?

Jadwiga Szegdziańska.

(C. d. n).



Nowy zamach na naród polski.

Dokończenie).[1]

Miała dwóch biskupów: jednego rzymsko- a drugiego grecko-katolickiego i jednego kasztelana. Sejmiki odbywała w mieście Chełmie i wybierała dwóch posłów na sejm Rzeczypospolitej, oraz jednego deputata do trybunału koronnego t. j. do najwyższego sądu krajowego. Herbem, czyli godłem Ziemi Chełmskiej był biały niedźwiedź pomiędzy trzema drzewami na zielonem polu.

Od połączenia się Litwy z Koroną w r. 1413., przestała Ziemia Chełmska być dzielnicą kresową, owszem znalazła się niemal w środku Polski, której granice odtąd sięgały poza Dniepr i Dźwinę. Od tego czasu zawsze już do Polski należała i dzieliła wiernie wszystkie jej złe i dobre losy.

Przy trzecim podziale Polski, w r. 1795., Ziemia Chełmska także podziałowi uległa; mała jej część położona za Bugiem, przyłączona do Wołynia, dosłała się w niewolę moskiewską, daleko większa zaś przeszła pod panowanie Austryi. Część ta Ziemi Chełmskiej po bohaterskim boju pod Raszynem i zwycięstwach księcia Józefa Poniatowskiego, odniesionych w roku 1809. nad Austryakami, weszła w skład niepodległego naówczas skrawka ojczyzny naszej i stała się częścią departamentu lubelskiego Księstwa Warszawskiego.

Gdy po upadku genialnego cesarza Francuzów Napoleona I., monarchowie europejscy zebrali się w r. 1815. na kongres w Wiedniu i „porządkowali“ Europę, od Księstwa Warszawskiego oderwano Poznańskie, a z reszty jego utworzono Królestwo Polskie, które poddano pod władzę cara moskiewskiego, zastrzegając, że Królestwo będzie miało swój rząd narodowy polski, wojsko i urządzenia polskie.

Odtąd Ziemia Chełmska stała się częścią województwa lubelskiego, które później Moskale przezwali gubernią lubelską i do dziś dnia do gubernii tej należy, jako część Królestwa Polskiego.

Mieszkańcy Ziemi Chełmskiej przyjęli wiarę chrześcijańską za Mieczysława I. razem z innymi mieszkańcami ówczesnej Polski wprost z Rzymu, byli więc pierwotnie rzymskimi katolikami. Później książęta ruscy, którzy wyznawali wiarę chrześcijańsko-grecką, uważającą za głowę kościoła, nie papieża rzymskiego, jeno patryarchę konstantynopolitańskiego, zmuszali Chełmian przemocą do wyznawania swojej wiary, trzymali się bowiem takiej samej zasady, jak książęta niemieccy, że poddani powinni taką wiarę wyznawać, jak panujący nad nimi książę. Gdy następnie Ziemia Chełmska powróciła do Polski, mieszkańcy jej odzyskawszy wolność religijną, częścią powrócili na łono kościoła rzymsko katolickiego, częścią zaś przywiązawszy się do obrzędów kościoła wschodniego, przyjęli obrządek grecko-katolicki, czyli, jak w Królestwie nazywają, unicki. W obrządku tym wytrwali wieki całe, jako wierni synowie kościoła katolickiego. Dopiero gdy po roku 1864. Moskwa, mszcząc się na narodzie polskim za to, iż wskutek bohaterskich bojów 1863. i 64. roku musiała dać ludowi wolność społeczną, zniosła wyznanie grecko katolickie, zaczęło się męczeństwo Chełmian, których Moskale gwałtem nawracali na prawosławie, uznając wszystkich unitów za należących do schyzmatyckiego, moskiewskiego kościoła.

Według pojęć moskiewskich prawdziwy

Moskal musi być schyzmatykiem; nawzajem każdy schyzmatyk powinien być Moskalem. Uznawszy Chełmian gwałtem, wbrew ich woli i pomimo męczeńskiego ich oporu, za schyzmatyków. powiadają teraz Moskale, że Ziemia Chełmska jest moskiewską, bo prawie jedna trzecia jej mieszkańców należy urzędownie do schyzmatyckiego kościoła!

Jest to fałsz, obłuda i kłamstwo. Naród polski, skrępowany kajdanami niewoli, słowami tylko może protestować przeciw temu nowemu gwałtowi moskiewskiego rządu i narodu, udających Słowian i protektorów słowiańskiego szczepu; Ziemia Chełmska jednak, chociaż zamieniona w osobną gubernię i oderwana od Królestwa, nie przestanie być ziemią polską, a mieszkańcy jej Polakami, jak nie przestały być polskiemi miastami Kraków i Warszawa, pomimo wiekowej przeszło niewoli, jak nie przestał być polskim Śląsk, chociaż w nim przez lat pięćset panowali Niemcy!

Ostap.



NIE SWATAŁA.

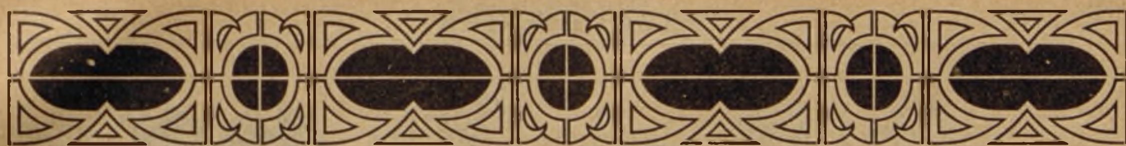
Nie swatała mi cię swatka,
Ani ojciec, ani matka,
Jeno pieśni skowronkowe.
W te poranki, w te majowe,
Jeno jasne one zdroje,
Kędy konie do dnia poję,
Jeno gołąb ten szkrzydlaty,
Jeno dróżka do twej chaty,
I fujarki onej granie,
Co rozlega się po łanie,
I te trzciny rokociny —
— Jedźże, Jaśku, do dziewczyny —
Hej!...

Nie swatały mi cię kumy,
Jeno ciemny lasów szumy.
Jeno tęskność, co się ściele
Po ugorach, jak złe ziele,
Jeno mokra ona łąka,
Gdzie się nocką tuman błąka,
Jeno złote ono słońce,
W cichych zorzach zachodzące...
Odwieczerzem jednem, drugiem,
Pług za łanem, ja za pługiem,
Za mną zasię słonko chodzi,
— Dziewczę ci się, Jaśku godzi,
Hej!...

Ludzie mi cię nie raili,
Ani do mnie miodem pili,
Jeno ten miesiączek biały,
I te gwiazdy cię swatały...
Nie chodziły tu sąsiady,
Na namowy, na wywiady,
Jeno cichość wieczorowa
Niosła zkądciś miłe słowa,
Nocka jeno w oknie stała,
Chłodną rosą przypijała,
Chłodną rosą mnie budziła —
— A gdzie, Jaśku twoja miła?...
Hej!...

M. Konopnicka.





II. DODATEK

DO NR. 6 „PRZODOWNICY“ ZA CZERWIEC 1909 ROKU.



Miara i krój.

W numerze marcowym mieliśmy prostokąt i linie zasadnicze, w tym numerze weźmiemy najpierw linie pumocnicze, są to te linie od których zależy dokładna długość i szerokość formy, i tak: Jeżeli długość stanika tj. przodu wynosi 42 cm to mierzymy 42 cm od linii (b) i robimy linię (d), następnie mierzymy bok tj. 23 cm od linii (a) i robimy linię (e), teraz mierzymy szerokość przodu od zapięcia aż do boku tj. 29 cm i robimy linię (f), następnie mierzymy szerokość pleców od linii (g) tj. 18 cm i robimy linię (h), zaś miejsce pozostałe między linią (f i h), liczymy na boki.

Na załączonej tablicy w dzisiejszym numerze mamy wyrysowaną połowę stanika, którego objętość w połowie wynosi w piersiach 54 cm a w pasie 36 cm.

Mając już wyrysowane linie zasadnicze i linie pomocnicze, rysujemy dokładnie podług miary formę, którą sobie nazwiemy patronem. Rysując patron trzeba się trzymać pewnych zasad, które można cośkolwiek zmienić jednak pominąć ich nie można i tak: na podcięcie szyi w przodzie liczy się w obie strony 8 a najwięcej po 10 cm, podcięcie szyi w plecach nie powinno przechodzić 5 — 6 cm.

Szerokość pierwszego tj. przedniego boczku nie może wynosić więcej jak 4 cm, może być 3 lub $3^1/_2$ lub 4, ale nigdy ponad 4 cm, dół zaś tego boczku nie może wynosić więcej jak 5 cm to znaczy, że powinien on być zawsze o 1 cm szerszy od góry, szerokość boku drugiego czyli tylnego nie może wynosić więcej jak górą 5 cm dołem 6. Jeżeliby rozmiar w ten sposób zrobić się nie dał, to trzeba zrobić trzy boczki chociażby węższe. Zresztą o staniku z trzema boczkami pomówimy następnym razem.

Takie same reguły jak przy boczkach, należy zastosować i przy zaszytkach tj. przy rozmiarze objętości w pasie.

Jeżeli objętość w piersiach wynosi 54 cm a w pasie tylko 36 cm to musimy się starać abyśmy 18 cm stracili, czyli że 18 cm musimy przeznaczyć na wycięcie i tak: pierwsza zaszytka nie może być bliżej zapięcia jak na 5. $5^1/_2$ a najwyżej 6 cm następnie idą zaszewki które nie mogą wynosić więcej nad $2^1/_2$ cm w połowie czyli 5 cm jedna zaszewka w załączonej tablicy mamy zaszewki na 3 cm zaś miejsce pomiędzy zaszewkami najwyżej $2^1/_2$ — 3 cm. Jeżeliby wypadało więcej natenczas robi się cały przód węższy i rozlicza się przód i boki tak, aby wypadł trzeci boczek. Szerokość pleców dołem może wynosić 3 — 4 cm, a najwyżej $4^1/_2$, szersze plecy są nie zgrabne.

Teraz rysujemy patron od linii do linii, nejpierw przód od b. do d. przecinając go na linie o 1 — 2 cm następnie rysujemy pod-

8 f h g

28 cm 7 cm 18 cm

d e a b c

5 5 4 5 6 4½ 2 2

5½ 1½ 1½ 2½ 2½ 2½ 1½

cięcie szyi, ramię i pachę przeciągając ją po za linię (f). Objętość przodu wynosiła w wymiarze 33 cm a odliczyliśmy tylko 29. Dlatego że dodajemy 1 lub 2 w zapięciu i 2 lub 2 cm w boku. Następnie wymierzamy sobie w przodzie połowę wysokości boczka zresztą zależy to od sznurówki, przy wysokiej sznurówce bierze się 18 cm. przy sznurówce niskiej wystarczy połowa wysokości boczek licząc od linii b. to znaczy 21. z tego bierzemy połowę czyli $10^1/_2$ cm od linii b. w górę i znaczymy lekko pół okrągłą linię aż pod sam bok, oznaczona tutaj literą (i) służy ona do oznaczenia wysokości zaszywek następnie rysujemy cały patron ściśle podług miary, stosując się do załączonego wzoru i uważając na wyżej wyznaczone reguły.

Plecy przeciąga się górą o 2 cm poza linią g. jak rówież ujmując zawsze 2 cm dołem poza linią (a) górą na linii d. odlicza się 1 cm na podcięcie szyi, dołem zaś przeciąga się o 2 cm poniżej linii (a). Mając wyrysowany patron a chcąc stwierdzić jego dokładność należy obliczyć długości szelek, tj. kropkami oznaczona jest szelka od karku, przecinkami zaś oznaczona jest szelka cała prowadząca przez brzeg ramienia. Szelka od karku wynosi 57 cm, szelka cała 92 cm, ta miara musi się zgadzać, o ile się nie zgadza to należy ramiona podnieść.

Objętość pachy musi się również zgadzać z miarą tak samo i wycięcie w szyi. Mamy jeszcze na w zorze małe zaszewki oznaczone literą (r) są to tak zwane rybki, które robi się tylko w podszewce i to dopiero wtedy kiedy się już podszewkę na osobie mierzy i robi się je w tem miejscu, gdzie one właściwie według wypukłości gorsu danej osobie są najodpowiedniejsze.

Po zmierzeniu jednak należy je rozpruć i zaraz na patronie radełkiem naznaczyć aby już raz na zawsze pozostały na podszewce zaszywa się je na powrót.

Ale o tem będzie jeszcze mowa przy mierzeniu i fastrygowaniu stanika.

Ludmiła Hałacińska.

